ŁOWIEC POLSKI



51 ROK
WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 8 (969) SIERPIEŃ 1949 R. CENA 60 ZŁ

CENY OGŁOSZEŃ:

Za ogłoszenie jednorazowe na okładce lub za tekstem pobiera się: za całą stronę — 20.000 zł, za ¾ strony — 15.000 zł, za ½ strony — 12.000 zł, za ¼ strony — 8.000 zł, za 1/8 strony — 5.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne, prywatne, zwykłym drukiem — 30 zł za wyraz, grubszym drukiem — 50 zł za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Gospodarstw Rolnych korzystają z 50% zniżki, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Administracji pisma.

Nasza okładka: „Na podjeździe", fot. I. Puchalska (z serii nagrodzonej)

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 8 (969) 1949 SIERPIEŃ



Zaskoczona... *fot. W. Puchalski (z serii nagrodzonej)*

LEON POPŁAWSKI

Wymowa liczb

Zgodnie z przewidywaniami autora, zdziwiłem się nieco, czytając w marcowym numerze Łowca Polskiego artykuł Z. Kowalskiego pt. „Dwie tony zajęcy". Zdziwienie moje graniczyło zresztą trochę z przestrachem. Czy beletrystyka, którą tak obficie darzy nas Łowiec Polski, miałaby grawitować w kierunku obrania za przedmiot zainteresowania skromnego szaraka? W miarę czytania jednak artykułu, obawy moje rozwiewały się stopniowo. Prezes Kowalski dał nam bowiem na końcu rzecz najważniejszą, rzecz nieocenioną, dał nam l i c z b y. I to szereg liczb nader ważnych i ciekawych.

Utarł się bowiem zwyczaj w piśmiennictwie łowieckim, iż każdy bez mała artykuł, poświęcony jakiejkolwiek, nawet przyczynkowej sprawie, mówi z powagą o w a ż n o ś c i łowiectwa dla gospodarki narodowej. Pisząc o łowiectwie, zakładamy jako p e w n i k, iż rola jego jest w ekonomice krajowej nader ważna. Ponieważ stanowimy jednak społeczność liczbowo niewielką i raczej z natury rzeczy dosyć w sobie zamknięta, dobrze się stało, iż nareszcie dysponujemy materiałem cyfrowym na poparcie naszych twierdzeń wobec tych, którzy do zagadnień łowiectwa nie podchodzą tak jak my ze sporą dozą sentymentu, a z reguły odrzucać zwykli wszelkie apriorystyczne twierdzenia.

Poza tym materiał liczbowy jest ważnym sprawdzianem stanu faktycznego i winien służyć jako podkład do wartościowania realności i skuteczności wytycznych polskiej polityki łowieckiej. Temu też mate-

riałowi pragnę poświęcić parę uwag, starając się go bliżej zanalizować i w miarę możności uzupełnić.

Chcąc w bilansie wyżywieniowym kraju ocenić rolę dziczyzny, produkowanej przez łowiectwo, należy opublikowane cyfry zestawić z innymi. Biorąc pod uwagę szacunek tej produkcji w roku 1948/49 w wysokości około 3.200 ton, i zestawiając tę liczbę z cyfrą produkcji np. wołowiny w 1948 r., dojdziemy do wniosku, iż produkcja dziczyzny wynosiła w tym roku około 3% produkcji mięsa wołowego w Polsce. Nie jest to niewątpliwie wiele, a zestawienie z produkcją wieprzowiny dałoby oczywiście jeszcze niższą cyfrę. Dlatego też, jako myśliwy, wolę prędko zestawić produkcję dziczyzny z produkcją, dajmy na to, rybactwa słodkowodnego, co pozwoli nam uzyskać dla dziczyzny już cyfrę około 25%.

Przechodząc do sprawy wysokości rocznego spożycia dziczyzny w kraju, to odnośnie 1948 r. stwierdzić musimy, iż wynosiła ona (przy wywozie w szacunkowej wysokości około 500 ton), zaledwie około 0.11 kg na głowę ludności. Jest to bardzo niewiele, o ile weźmiemy pod uwagę, iż według prof. dr Edwarda Schechtla (Łowiectwo na Pomorzu, strona 29), spożycie dziczyzny w Niemczech wynosiło przed wojną około 0,50 kg na głowę ludności, a na terenie Ziem Zachodnich nawet 0.74 kg. Cyfry te są jednocześnie nader ciekawe jako ilustracja potencjalnych możliwości produkcyjnych łowiectwa na terenie Ziem Zachodnich.

Zestawiając przedwojenną produkcję dziczyzny z danymi za lata powojenne, które to cyfry są zresztą trudne do porównania z uwagi na istotne zmiany terytorialne, zaszłe w wyniku ostatniej wojny, zauważyć musimy, iż zarówno przed wojną jak i po wojnie w produkcji tej dominującą rolę odgrywa zwierzyna d r o b n a, w praktyce drobna zwierzyna kulturalna. Udział drobnej zwierzyny w produkcji 1938 r. wynosił ponad 80%, w latach powojennych już ponad 85%, co jest tym bardziej godne podkreślenia, iż z tych lat nie mamy zupełnie cyfr odnośnie odstrzału ptactwa. Jest to wynikiem ogromnego wyniszczenia naszych zwierzostanów bażańcich oraz kuropatwianych w okresie wojny. Mimo to udział drobnej zwierzyny, tj. w danym przypadku tylko zajęcy, wzrósł w ogólnej puli dziczyzny i wykazuje nadal silną dynamikę (porównaj dane planu na rok 1951/52).

Odnośnie eksportu, to interesujące są również dane za lata przedwojenne. W ocalałych po wojnie źródłach nie sposób, niestety, odnaleźć liczb, dotyczących wywozu ż y w e j zwierzyny, który to wywóz przed wojną pięknie się rozwijał i siłą rzeczy był znacznie bardziej rentowny od eksportu dziczyzny. Natomiast wywóz b i t e j zwierzyny przed wojną przedstawiał się następująco (źródło: Rocznik Handlu Zagranicznego):

Rok:	Ogółem wywóz:		w tym wywóz ptactwa:	
	kwintali	złote:	kwintali	złote:
1936	5.885	790.000	1.534	444.000
1937	5.950	833.000	1.592	465.000
1938	4.485	654.000	1.326	384.000

Kierunki polskiego wywozu zwierzyny bitej wskazuje zestawienie z 1938 r.:

Kraj przeznaczenia:	Ogółem:		w tym ptactwo:	
	kwintali	złote:	kwintali	złote:
Anglia	.	.	496	157.000
Francja	1.404	163.000	312	73.000
Holandia	531	52.000	47	12.000
Niemcy	1.201	149.000	152	51.000
Szwajcaria	808	123.000	302	85.000

Zaznaczyć należy, iż na dewizowe rynki zachodnie wywoziliśmy prawie wyłącznie drobną zwierzynę, tj.: zające, a z ptactwa przeważnie bażanty. Uzyskiwane ceny były dobre, wynosiły za zające około 16 dolarów za kwintal, co odpowiadało wówczas mniej więcej krajowej cenie za świnie, zaś za ptactwo przeciętnie około 55 dolarów za kwintal, a na rynku angielskim nawet około 60 dolarów. Jako ciekawostkę podać należy, iż w tym samym czasie za nasz standartowy artykuł eksportowy pokrewnej natury z dziedziny wywozu rolnego, tj. za tuczone indyki, uzyskiwaliśmy na rynku angielskim znacznie niższe ceny, gdyż tylko około 34 dolary za kwintal.

Wydaje się, iż z powyższego materiału cyfrowego można wysnuć następujące wnioski:

1. Rola łowiectwa w bilansie żywnościowym kraju nie jest znowu tak bardzo wielka, jakby się wydawać mogło, operując liczbami absolutnymi; tym niemniej produkcja jego ma oczywiście pewne znaczenie, szczególnie w okresie obecnego, ostrego deficytu na odcinku produkcji hodowlanej kraju.

2. Wydaje się, iż można zaryzykować twierdzenie, iż udział dziczyzny w konsumcji mięsa w kraju, obecnie minimalny, powinien jednak w przyszłości raczej wzrastać. Wskazują na to podane wyżej cyfry spożycia dziczyzny na głowę ludności w porównaniu do niemieckich danych za okres przedwojenny oraz fakt, iż odbudowa produkcji łowiectwa, mimo niewątpliwe postępy w ostatnich latach, pozostaje jednak mocno w tyle w porównaniu do stanu rozwoju produkcji mięsa przez rolnictwo.

3. W produkcji dziczyzny dominującą rolę gra drobna zwierzyna, a przede wszystkim drobna zwierzyna k u l t u r a l n a, i dlatego też sprawie odbudowy tej właśnie produkcji poświęcić należy maksimum wysiłków i uwagi.

Pragnę jeszcze zastanowić się nad paru sprawami, które tematycznie łączą się z ostatnim z wysuniętych wyżej wniosków.Podany w punkcie 3 prymat drobnej zwierzyny kulturalnej jest, moim zdaniem, uzasadniony przede wszystkim tym, iż łowiectwo u nas nigdy nie może być uważane za zupełnie odrębny dział gospodarki narodowej. Łowiectwo było, jest i będzie zawsze silnie organicznie związane z dwoma wielkimi działami tej gospodarki, tj. z rolnictwem i leśnictwem, stanowiąc cenne u z u p e ł n i e n i e ich produkcji, oparte na o d r ę b n e j, swoistej eksploatacji terenu, objętego gospodarką rolną i leśną.

Z powyższego wynika, iż wytyczne polityki łowieckiej w epoce nowoczesnej, planowej gospodarki muszą liczyć się z koniecznością podporządkowania jej postulatów w y m o g o m tych dwóch podstawowych działów gospodarki narodowej. Interesy łowiectwa nie mogą zatem nigdy na długą metę stać w sprzeczności z interesami rolnictwa i leśnictwa, i muszą im być bezwzględnie podporządkowane. Łowiectwo nie będzie nigdy celem samym dla siebie, bez względu nawet na absolutną wysokość jego produkcji,

gdyż produkcja ta z gospodarczego punktu widzenia nie może oczywiście nigdy wytrzymać konkurencji tańszej i sprawniejszej produkcji hodowlanej rolnictwa.

Powyższe dotyczy zarówno produkcji mięsa, jak i skór surowych, futer i innych. Zaś wieńce i szable posiadają wprawdzie wartość, ale, niestety, nie gospodarczą i to dla szczupłego stosunkowo grona osób.

Dlatego też z gospodarczego punktu widzenia może budzić poważne wątpliwości teza, postawiona przez inż. J. Bohusza w nrze 11 (960) Łowca Polskiego, iż „hodowla i rozpowszechnienie jelenia oraz dzika we wszystkich odpowiednich łowiskach leży w interesie gospodarstwa narodowego...". Chyba, żeby tymi „odpowiednimi" łowiskami były rewiry, gdzie nie

Wydaje się więc, iż w przyszłości należy liczyć się w pewnych okręgach z redukcją hodowli grubej zwierzyny. Sytuacja jelenia jest tu gorsza od położenia dzika, w którego obronie może z powodów natury gospodarczej zabrać głos leśnictwo. Sądzę jednak, iż mimo wszystko oba te gatunki znajdą się niedługo już jedynie w rezerwatach, jako świadectwo innych czasów, innych minionych już form gospodarki i z czasem przestaną być już zwierzyną łowną. Jest to wynikiem nieubłaganego prawa rozwoju cywilizacji, przechodzenia do coraz wyższych, bardziej intensywnych form wykorzystywania terenu.

Nie należy przy tym powoływać się na przykład Ziem Zachodnich celem uzasadniania rzekomej możliwości trwałego pogodzenia rozwoju hodowli gru-



Kszyk na gnieździe *fot. W. Puchalski (z serii nagrodzonej)*

zachodzi obawa szkód łowieckich, a gdzie natomiast jelenie i dziki żywiłyby się paszą, której inaczej nie dałoby się w ogóle w inny sposób wykorzystać. Jak wiemy jednak, tego rodzaju łowisk w praktyce nie ma, a szkody łowieckie są nieuniknione przy każdej hodowli zwierzyny płowej i czarnej na swobodzie.

W przeciwieństwie jednak do grubej zwierzyna drobna — a ściślej mówiąc drobna zwierzyna kulturalna — znakomicie dopasowuje swe bytowanie do formy nowoczesnej, intensywnej gospodarki, stając się nawet jej cennym uzupełnieniem, właśnie na skutek tego, iż w danym przypadku łowiectwo rzeczywiście przedstawia nową, o d r ę b n ą formę eksploatacji tego samego terenu, nie pozostającą w kolizji z produkcją główną. Intensyfikacja produkcji łowiectwa nie stoi tutaj w sprzeczności z interesami rolnictwa i leśnictwa, gdyż zagadnienie szkód łowieckich w praktyce nie występuje tu wcale.

bej zwierzyny z utrzymywaniem wysokiego stopnia intensyfikacji produkcji rolnej i leśnej. Na terenie tych Ziem hodowla grubej zwierzyny była wprawdzie przez Niemców utrzymywana sztucznie na bardzo wysokim poziomie, ale z chwilą powrotu Ziem Zachodnich do Macierzy, warunki gospodarczo-społeczne uległy tak radykalnym zmianom, iż nie sposób doprawdy szukać analogii z czasami przedwojennymi.

Obecnie nie mamy już tu do czynienia z p r y w a t n ą formą władania gospodarstwami rolnymi i leśnymi, przy której mógł mieć prymat czynnik amatorstwa do hodowli przed momentami natury gospodarczej. Lasy i znaczna część ziemi ornej przeszła w ręce Państwa, a gospodarka państwowa z natury rzeczy musi być oparta przede wszystkim na kalkulacji gospodarczej i na należytym uwzględnianiu hierarchii potrzeb.

Poza tym finansowa kalkulacja hodowli grubej

zwierzyny uległa też radykalnej zmianie. W Państwie Ludowym ilość myśliwych, których stać będzie na poniesienie znacznych kosztów, związanych z polowaniem na tę zwierzynę, musi być siłą rzeczy znacznie mniejsza niż w przedwojennych Niemczech, dysponujących wówczas licznymi kadrami elitarnych myśliwych, pochodzących z kół junkrów i bogatych przemysłowców. Wysokość opłat za odstrzały, znaczne koszta dojazdu, brak wolnego czasu itp., wszystko to przekracza u nas z reguły możliwości szerokich kół myśliwych i właśnie to przede wszystkim, a nie tylko wysokość ewentualnych odszkodowań, jest powodem tego braku zainteresowania szerokich rzesz myśliwych dla polowania na grubą zwierzynę. Odbija się to z kolei na wpływach Państwa, jako dysponenta terenami leśnymi oraz oczywiście na ilości rewirów leśnych ,zagospodarowanych łowiecko przez kółka myśliwskie.

W tych warunkach trudno sobie wyobrazić opłacalność stosowania u nas, wzorem przedwojennych Niemiec, kosztownych urządzeń zapobiegawczych przed szkodami łowieckimi, abstrahując już zupełnie od problemów, jakie w tej dziedzinie wyłaniają się w związku z przechodzeniem leśnictwa na system gospodarki bezzrębowej.

I dlatego też, jeśli problem rozwoju łowiectwa w Polsce rozpatrywać będziemy z gospodarczego punktu widzenia — jedynie słusznego na daleką metę, i na który tak często zresztą powołujemy się, aby uzasadnić szereg naszych postulatów — to stwierdzić musimy, iż problem ten leży obecnie wyłącznie w płaszczyźnie koniecznej, wszechstronnej i szybkiej odbudowy hodowli drobnej, kulturalnej zwierzyny. Odbudowując nasze zwierzostany zajęcze, bażancie, kuropatwiane, a nawet i kacze — przyczyniamy się tym samym do poprawy sytuacji wyżywieniowej naszych miast, poprawiamy bilans handlowy drogą wzmożenia eksportu, słowem działamy w miarę naszych skromnych możliwości na pożytek naszego Państwa. Przestańmy jednak nareszcie żyć mrzonkami, dyktowanymi nam wyłącznie przez sentyment lub przez nieznajomość stanu faktycznego, wynikającego właśnie z opublikowanych liczb. Szynka z dzika, buszującego po chłopskich polach, nie była i nie będzie nigdy naszym s t a ł y m artykułem eksportowym. Nie wytrzyma ona nigdy konkurencji szynki z wieprza, wykarmionego kartoflami i ospą w chłopskim chlewiku, tak jak mięso jeleni, niszczących kultury leśne , okaże się na pewno na dłuższą metę zbyt drogie nawet dla krajowej konsumcji, w porównaniu do zwykłej wołowiny.

Nie chciałbym tu powtarzać tych wszystkich środków, jakie wiodą do zamierzonego celu odbudowy hodowli drobnej zwierzyny. Ograniczę się więc tylko do zgłoszenia pod adresem Szanownej Redakcji Łowca Polskiego postulatu, pozornie sprzecznego ze wstępem do niniejszego artykułu. Więcej uwagi poświęcać sprawie h o d o w l i drobnej zwierzyny. Bierzmy przykład z naszych sąsiadów, praktycznych Czechów! Opracowali oni i wydali monografię skromnego szaraka (a ostatnio kuropatwy), nie zapominając nawet o przepisach kulinarnych. My zaś czytamy wciąż o jeleniach i dzikach, ba nawet o p r z e d w o j e n n y c h karpackich jeleniach i dzikach.

A przecież Łowiec Polski musi być przede wszystkim pismem fachowym, pismem kształcącym szerokie masy, w oparciu o r z e c z y w i s t o ś ć i dlatego też nie powinno się poświęcać zbyt wiele miejsca nawet najlepszej beletrystyce. Tym więcej, gdy bierze ona za przedmiot zainteresowania opis tego, co właśnie siłą rzeczy mało te szerokie masy interesuje, tego, czego one nie znają i w ogromnej większości przypadków na pewno znać nie będą mogły. Ewolucja łowiectwa musi u nas, niestety, iść w innym kierunku i na pewno wszyscy przestawimy się niedługo prawie wyłącznie na polowanie na drobną zwierzynę. Więc jeśli beletrystyka — to na aktualne tematy, nawet choćby o zającu, bażancie i kuropatwie.

Taka jest bowiem wymowa cyfr, opublikowanych przez prezesa Z. Kowalskiego.

Warszawa, w marcu 1949 r.

Leon Popławski

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

Rogacze, rogacze...

Niewielka polana leśna zalana promieniami wschodzącego słońca. Gdzieniegdzie błąkają się niewielkie opary mgieł, ale ciepłe, słoneczne promienie przegnały je; jeszcze tylko pod lasem, gdzie mrok panuje, mgły znajdują ostoję. Polana cała zlana jest rosą, mieniącą się barwami tęczy na trawach, na których widać historię minionej nocy. Tu przeszła sztuka grubej zwierzyny, tam z lekka tylko, strącając krople rosy, przemknął szarak, zatrzymał się pod lasem i w tym miejscu rosa rozlała się wodą na liściach traw. W górze, w błękicie porannego nieba krążył myszołów, wyżej w dużych spiralach lotu wypatrywał zdobyczy gołębiarz.

Wtem na łąkę wypadł kozioł. Ruda plama ostro odcinała się na tle zroszonej, szmaragdowej łąki. Jakże pięknym urozmaiceniem krajobrazu stała się sylwetka rogacza. Stał, rozglądając się bystro wokoło. Jego wysokie parostki błyszczały w słońcu białymi końcami odnóg. Coś go jednak przestraszyło. Coraz podnosząc głowę, wypatrywał niebezpieczeństwa, a nie mógł oderwać się od soczystych, słodkich traw łąki. Wreszcie zdecydował się. W lekkich susach przebiegł polanę i głośno strasząc, znikł w ciemni lasu.

— — — —

Polowanie na rogacze. Tyle razy opisywane przez innych, tyle razy przeżywane przez danego myśliwego... A każde inne, każde pełne jakiegoś dziwnie czarującego nastroju.

Wielu klasowych myśliwych lekceważy je. Uważa, że strzelanie do kozła w lecie, to nie sztuka myśliwska, wolą polowanie na łatwe, letnie kaczki niż podchód, podjazd czy zasiadkę na rogacza. Czy słusznie? Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Mogę jedynie stwierdzić, że podjazd rogacza jest dla mnie

jednym z najmilszych rodzajów polowania. Wypracowanie zaś i ubicie kapitalnego kozła zaliczam do najtrudniejszych łowów.

A poza tym trofeum... O ile w kapitalnym wieńcu jelenia podziwiamy rozmach i siłę, to dobre parostki znamionują jakieś subtelne piękno.

Widziałem w życiu dużo kolekcyj trofeów myśliwskich. Prawie wszędzie spotykałem kapitalne wieńce jelenie, ale kapitalnych parostków widziałem niewiele.

Spotkania z rogaczami są tak różnorodne, przy tym rzadko kiedy ma się możność tak bacznego obserwowania przyrody, jak podczas polowania na rogacze. W czasie polowań na jelenie na rykowisku, dużą pomocą jest dla myśliwego sam ryk jelenia, on to przeważnie decyduje o spotkaniu. W polowaniach na rogacze jedynie bystre oko myśliwego, szybka decyzja i znajomość zachowania się zwierzyny dają myśliwemu szanse zdobycia cennego trofeum. Wprawdzie dużo się pisze i mówi o wypracowaniu dobrego rogacza, ale nie zawsze tak jest. Dobrych rogaczy jest sporo i takiego wypracować można, ale ubicie kapitalnego, to tylko kwestia przypadku, to właśnie ten wielki dar, wielka łaska św. Huberta, który w ten sposób chce udelektować swego wiernego wyznawcę. I właśnie dlatego, że rogacza możemy tylko wypatrzeć, uważam, że polowanie na kozła daje myśliwemu możność ścisłego obserwowania otaczającej go przyrody. Przy polowaniach na jelenie, rykowisko, acz wspaniałym jest przeżyciem, dającym niewypowiedziane emocje, nie wymaga tak bystrej obserwacji, jak podjazd rogacza. Poza tym może właśnie ta szalona emocja jest pewną nawet przeszkodą — będącą w ścisłym związku z naszym przeżywaniem — w obserwacji zjawisk przyrodniczych. Podczas polowań na rogacze myśliwy nie przeżywa tak wielkich emocji. Nastrój jest inny, pełen jakiegoś czaru i sentymentu. Zdobyłbym się na takie porównanie: o ile łowy na jelenia na rykowisku porównać można w natężeniu emocjonalnym do miłości dorosłego mężczyzny, pełnej namiętności i zmysłów, to polowanie na rogacza porównałbym ze sztubacką miłością, pełną sentymentalizmu i egzaltacji, kiedy widok ukochanej sprawia większą radość niż rozmowa z nią. A któż z nas, nieraz nawet z uczuciem pewnej wstydliwości, nie wspomina swej pierwszej miłości...

Polowanie na rogacza wyzwala nas z wiecznego koła walki, walki codziennej o życie, byt, egzystencję, walki z przeciwnościami i przeciwnikami. Polowanie na rogacza wprowadza nas jakby w lepszy świat, świat czarów natury, krwawych wschodów i pastelowych zachodów słońca, w świat narastającego mroku nocy i budzącego się dnia. I dziwny nas ogarnia nastrój. Choć jesteś myśliwym i pragniesz zdobyć trofeum, jednak nie żądza ubicia, a raczej tęsknota za naturą prowadzi cię do lasu. Ileż razy wracałem z podjazdu dziwnie rozmarzony, upojony czarem poranku, choć wózek mój był pusty.

Dlatego lubię polowanie na rogacza czy to będzie podjazd, czy podchód, czy nawet zasiadka, choć ona najmniej mi daje tych emocji, których szukam.

Gdy sięgnę pamięcią wstecz, przypominam sobie niejedno przeżycie. Wśród prawie setki ubitych przeze mnie rogaczy, trzy były kapitalne, kilkanaście bardzo dobrych, kilkanaście ciekawych myłkusów, a kilka słabych „rogaczyków", z którymi spotkania nieraz były najciekawsze.



Kozioł padł w ogniu *Rys. I. Rozwadowski*

Z nawały wspomnień, które cisną się do głowy, postaram się wyłuskać kilka i rzucić je na papier. Niech inni, młodzi zwłaszcza myśliwi, czytając przeżywają je tak, jak ja je przeżywałem.

— — — —

Sierpień 1937 r. Było to w samborskim. Wybierałem się na kaczki. Ale ot, na wszelki wypadek, wziąłem ze sobą sztucer. Wracając późnym wieczorem do domu, musiałem część drogi przejść lasem. Strzelbę miałem w ręku, kaczki i sztucer niósł gajowy.

Cisza panowała cudowna. Jeszcze na zachodzie widać było kryjące się za horyzontem słońce, ale w lesie mrok panował już prawie zupełny. Rozkoszowałem się ciszą i spokojem. Urlop mi się już kończył. Jeszcze kilka dni miałem przed sobą. Zaproszony przez mego kuzyna, miałem do dyspozycji odstrzał dowolnej ilości kaczek i dwóch rogaczy. Do tej pory ani jednego kozła nie zdobyłem. Dość często wprawdzie jeździłem do lasu, widziałem niejednego rogacza, ale znając tamtejszą knieję i wiedząc co mi może ofiarować, nie strzelałem do spotykanych kozłów. Wciąż szukałem lepszego.

Dziś rano znów nie strzeliłem rogacza nawet niezłego, ale jakoś nie mogłem się zdecydować na strzał. Wracając wieczorem z polowania na kaczki robiłem plany na najbliższe dnie, postanawiając wreszcie zdobyć parostki.

Idąc przez las, rozmawiałem półgłosem z gajowym, dzieląc się moimi planami.

Wreszcie wychodzimy z lasu. Zatrzymuję się i przez lornetkę obserwuję pole kartofli, ciągnące się pod lasem.

— Jest kozioł... bardzo dobry... — szeptem mówię do gajowego. Zmieniam broń, biorę sztucer do ręki. Mrok coraz silniejszy i odległość między mną a rogaczem duża.

Wtem rogacz, widocznie nas dojrzał, poderwał głowę i w susach wali do lasu Odległość 80 — 90 m. Nie wytrzymałem. Podrzuc'*em sztucer do ramienia, chwilę prowadzę muszkę i wreszcie strzelam. Kozioł się potknął, ale w tej chwili zginął w lesie.

Idziemy na strzał, panujący mrok jednak nie pozwala tropić. Wracamy domu, by na drugi dzień, skoro świt, stwierdzić wynik strzału.

Jeszcze ciemno było, gdyśmy znów znaleźli się pod lasem. Znów w kartoflach żerowało kilka sztuk. Przez lornetkę obserwowałem je, szukając mego wczorajszego rogacza, ale wśród żerujących nie było go.

Coraz jaśniej, sarny powoli ciągną do l su. Jest wśród nich kozioł, ale słaby. Idziemy z gajowym na miejsce, z którego strzelałem, znajdujemy łuskę wystrzelonego naboju. Udajemy się na miejsce zestrzału. Farby nie ma. Idziemy domniemanym tropem, wciskamy się między gęste podszycie lasu, wciąż szukając upragnionej czerwonej kropli. Daremnie. Przeglądamy każdy listek, każde źdźbło trawy. Nic. Wtem wzrok mój pada na bujny wachlarz paproci. Co to? Czyżby? Tak, to leży kozioł. Czerwona plama odbija się wyraźnie na tle zielono-brunatnego otoczenia. Przez lornetkę stwierdzam, że sztuka nie żyje. A więc to mój rogacz. Przedzieram się ostro naprzód i za chwilę stoję nad rogaczem, ale jakim? Wspaniałe grube parostki są mocno uperlone aż po tylne odnogi, róże prawie zrośnięte, wysokie i też mocno uperlone. Końce odnóg białe, tylko kolor parostków nieco za jasny. Wysokość 27 cm. Był to jeden z trzech ubitych przeze mnie kapitalnych rogaczy.

Wracając do domu, strzeliłem drugiego rogacza. Niezły szóstak, o dobrym uperleniu, ale nie równać mu się z pierwszym.

— — — —

Maj 1939 r. Pociąg z Łucka tak się spóźnił, że oczekujący mnie na małej stacyjce nadleśniczy lasów cumańskich postanowił jechać wprost do lasu. Droga nie była daleka, bo właściwie i stacja Cumań leżała na wykarczowanym kawałku kniei.

Duszne powietrze ogarnęło nas, gdyśmy wjechali w wysoki starodrzew. Mała bryczuszka, zaprzęgnięta w jednego konika, z trudem toczyła się po piaszczystych liniach. Sarn widzimy dużo. Pierwsza wiosenna zieleń bujnie rozwielmożnia się dosytem barw. Śpiewają ptaki, gwiżdże kos, jodłuje wilga, świergołek leśny wyciąga misterne trele na wątłej gałązce leszczyny. A z gęstych zarośli splątanych łóz, tarniny i głogu dochodzi kląskanie słowika. Jest cudnie. Chciało by się tak jechać bez przerwy, zapomnieć o życiu codziennym, a jedynie cieszyć zmysły czarem otaczającej przyrody.

— Rogacz na prawo — szepce nadleśniczy, przerywając moje zamyślenie.

Wyskakujemy obydwaj z bryczki i przytuleni do dwóch sosen, obserwujemy czerwoną plamę zwierzyny przez lornetki. Odległość circa 120 m.

— Selekcyjny — cedzę przez zęby — widłak, ale bardzo wysoki.

— Dziwne parostki — odpowiada nadleśniczy — tak, widłak, ale co on je tak wysoko wypuścił.

Rogacz odwrócił głowę i patrzył za oddalającą się bryczką.

Jeszcze raz stwierdziłem, że był to bardzo wysoki widłak i chyba stary, może wsteczniak, może już wystąpił zanik odnóg, bo cała postawa rogacza znamionowała poważny wiek.

— Niech pan strzela—namawia mnie nadleśniczy.

Jeszcze raz podniosłem do oczu ośmiokrotną lornetkę i decyduję się na strzał.

Po strzale ptaki na chwilę umilkły, a rogacz jak piorunem trafiony, znikł z pola widzenia.

Idziemy na miejsce zestrzału. Ku naszemu zdziwieniu rogacza nie ma. Szukamy farby i też jej nie znajdujemy. Wołamy gajowego i furmana i zaczynamy dokładne poszukiwania. Czeszemy las w tę i w tamtą stronę; po rogaczu ani śladów żadnych nie ma. Obydwaj z nadleśniczym widzieliśmy jednak zupełnie wyraźnie, że rogacz został w miejscu, więc gdzieś musi leżeć, chyba, w czasie gdyśmy do niego podchodzili, podniósł się i niepostrzeżony uszedł. Ale w takim razie musiałaby być farba. Zaczyna się ściemniać. Postanawiamy wracać do bryczki, a jutro znów z psem rozpocząć poszukiwania.

Nagle, tak miły dla ucha myśliwego, głos furmana:

— A ot leży jucha, ale kozioł!

W kilku susach jestem przy nim. Co za kozioł!... Wspaniały, prawie kapitalny szóstak, w najwyższym stadium rozwoju. Kto wie, może na przyszły rok byłby już gorszy. Jak mogliśmy go wziąć za widłaka — do dziś pozostaje dla mnie zagadką.

Na drugi dzień rano strzeliłem jeszcze dwa rogacze, z których jeden przedstawiał ciekawy typ degenerata. Olbrzymi w mięsie, parostki posiadał dziwnie krótkie, około 15 cm, mocno uperlone, wąsko rozstawione, o bardzo ciekawym kolorze ciemno-bordo. Wypatroszony ważył 29,5 kg. Przy patroszeniu stwierdziłem, że cała wątroba wypełniona była bąblowcami; niektóre były już skamieniałe.

— — — —

Sierpień 1947. Nadleśnictwo Moja Wola w poznańskim. Już dwa dni jeździłem za rogaczami bez rezultatu. Trzeciego dnia inż. W., nadleśniczy oraz leśniczy leśnictwa Cieszyn towarzyszą mi w popołudniowym podjeździe. Rogacze są szalenie ostrożne, widać zetknęły się ze straszliwymi skutkami wojny i rozpanoszonym kłusownictwem. Jeździmy już dość długo, ale do strzału nie dochodzę.

Wreszcie nieco już zniechęceni, wracamy w stronę domu, gdy nagle powożący linijką leśniczy szepce — kozioł. Rozglądamy się, istotnie przed końmi w odległości 80 m stoi rogacz. Nadleśniczy namawia mnie do strzału, twierdząc, że rogacz dobry. Czasu dużo nie ma, bo zwierz już nas zoczył i za moment ruszy. Opieram sztucer o drzewo i spokojnie wymierzywszy, strzelam i—pudłuję. Rogacz, jak batem uderzony, podskoczył i nie zaznaczywszy strzału, wali w stronę

świerkowego zagajnika. Po przejściu jakichś 150 m pełnym galopem, zatrzymuje się pod nawisem starego świerka. Nadleśniczy szepce bym poprawił, niestety, on widzi całego rogacza, ja tylko tył. Wreszcie w kilku susach kozioł ginie w zagajniku. Zapalamy papierosa i zaczynamy omawiać strzał. Wszyscy zgodni jesteśmy co do jednego, a mianowicie, że spudłowany.

Ale dla porządku i czystego sumienia idziemy na miejsce strzału. Farby nie ma, jak było do przewidzenia. Dalej posuwamy się po drodze którą przeszedł rogacz, stajemy pod nawisem świerka, pod którym się zatrzymał. Farby nigdzie. Znów się zatrzymujemy i rozmawiamy, paląc papierosy.

Ale co to? Słyszę wyraźnie jakieś charczenie w zagajniku, o kilka kroków od nas.

Wpadamy w zagajnik i podnosimy ciężko rannego kozła. Zerwał się i uszedł głębiej w świerki. Zdołałem tylko dojrzeć dużą czerwoną plamę krwi na łopatce.

Wycofujemy się z zagajnika i po pół godziny znów udajemy się na poszukiwania, które na szczęście nie trwały d ugo, bo wnet znaleźliśmy go już nieżywego.

Był to bardzo słaby, młody szóstak, ale raczej selekcyjny. Kulę dostał na spóźnioną komorę, przeszła na wylot. Ciekawe, że nigdzie nie znaleźliśmy farby, a strzelałem półpłaszczykową kulą kalibru 6 $\times$ 57.

— — — —

Rok 193... Podlasie. Wcześnie rano wyjechałem sam linijką do lasu, który znałem doskonale. Rozkoszowałem się świeżym powietrzem i cudnym wschodem słońca. Przy wjeździe do lasu spłoszyłem dobrego rogacza. Nie zdążyłem wstrzymać konia i zeskoczyć z linijki, gdy kozioł w kilku susach znikł w lesie. Za to długo obserwowałem dwie sarny, z których jedna prowadziła młode.

Wjeżdżam w las, rozśpiewany gwarem ptaków. Daleko przeciął mi linię lis, wracający z pól; coś ciężkiego niosł w pysku. Pewnie gdzieś w okolicy porwał kurę i teraz niósł do jamy, by nakarmić młode.

Dłuższy czas jeżdżę po lesie, nic nie widząc. Las ten, to właściwie szereg kwater, składających się z zagajników różnego w'eku. Starodrzewia prawie nie ma, a gdzie jest, to gęsty podszyt z leszczyn, jałowców, paproci, jeżyn i pokrzyw nie pozwala na dalsze spojrzenie w głąb. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach zdobycie rogacza nie było rzeczą łatwą.

Wjeżdżam wreszcie na główną linię, dzielącą las jakby na dwie połowy. Po 'ewej stronie mam piętnastoletnią drągowinę, po prawej podszyty starodrzew, który nagle urywa się i od razu przechodzi w zeszłoroczny zrąb, mocno już zarośnięty. Ruda plama zwierzyny, stojąca na zrębie, rzuca się od razu w oczy. Lornetka do oczu. Jest rogacz, niezły szóstak.

Wyskakuję z linijki i oparłszy lufę Mannlichera o siedzenie wózka, strzelam. Kozioł znaczy kulę i znika w następnym zagajniku.

Nie idę na strzał, bo widziałem, że zwierz dostał dobrą kulę i jeśli już nie leży, to za godzinę będę go miał, potrzebny mu tylko czas „na dojście".

Dojeżdżam więc do skrzyżowania linii, zawracam i udaję się do gajówki. Tu poczęstowany przez gajowego kubkiem gorącego mleka, wypalam papierosa i opowiadam o mym spotkaniu.

Po godzinie ruszamy na miejsce strzału. Gajowego proszę, by poszedł śladem rogacza a sam staję na wszelki wypadek na linii poprzecznej, aby w razie ruszenia przez gajowego kozła, strzelić go na linii.

Mija dziesięć minut, a więc gajowy wszedł już do zagajnika. Stoję na linii. Sztucer odbezpieczony trzymam w ręku, ale nie liczę się z możliwością strzału, wierząc, że mój rogacz leży.

Wtem odwracam głowę w lewo i widzę rannego kozła, wolno przechodzącego przez linię. Jest niedaleko, jakieś 20 kroków, mocno zgarbiony, widocznie strzał w wątrobę. Patrzę na parostki — tak, to ten sam. Śmiesznie łatwy strzał kładzie go w ogniu.

Jakież było moje zdziwienie, gdy w kilka minut po strzale, wychodzi gajowy, ciągnąc mego pierwszego rogacza, który leżał 20 kroków od miejsca strzału.

— Do czego pan strzelał? — pyta gajowy.

— Do rogacza. Myślałem, że to mój postrzałek — odpowiadam, wskazując na drugiego leżącego kozła.

Porównujemy parostki, prawie jednakowe, dość mocne szóstaki o jednakowej rozłodze i wysokości różków, jedynie drugie parostki były lepiej uperlone.

Obydwa moje trofea wisiały przed wojną na jednej, wspólnej tarczy i nieraz przypominały mi niecodzienne przeżycie łowieckie.

— — — —

Kończąc me wspomnienia z polowań na rogacze, nie mogę się oprzeć opisaniu ubicia przeze mnie pierwszego kozła w życiu.

Było to na Podlasiu, w Hruszniewie, w r. 1922. Wyszedłem w ciepły, pogodny, wrześniowy wieczór na kuropatwy. Już kilka kur wisiało na trokach, gdy postanowiłem wejść w duży łan kartofli, ciągnący się pod lasem. Oczywiście strzelbę miałem nabitą ładunkami 2,5 mm śrutu. Ledwo wszedłem w kartofle, gdy prawie z pod nóg wyrwał mi się rogacz. Ani chwili nie namyślając się strzeliłem z dwóch luf, mierząc w szyję. Po strzałach, ku nieopisanej mej radości, rogacz zrulował na miejscu.

Kiedy wróciłem do domu i prosiłem o danie mi konia, bym mógł przywieźć rogacza, nikt mi nie wierzył i dopiero wstawiennictwo śp. Matki mojej sprawiło, że wnet, poganiając konie, pędziłem pod las. Długo podziwiano moją zdobycz. Tego dnia wieczór miałem 40 stopni gorączki, a że we wsi panował tyfus, mocnego stracha napędziłem rodzinie. Obawy o mnie okazały się na drugi dzień bezpodstawne; ledwo świt, zerwałem się zdrów i rześki, aby znów podziwiać parostki mego pierwszego rogacza.

A jakkolwiek były to tylko parostki widłaka, wisiały one przez długi czas na poczesnym miejscu, i choć potem wiele innych trofeów zdobiło mój pokój, to jednak najczulsze spojrzenie padało zawsze na to pierwsze, tak cenne dla mnie trofeum.

— — — —

Wiele mógłbym opisać polowań na rogacze. Ile kozłów zabiłem, tyle wspomnień ciśnie się do głowy. Wybrałem kilka, może zaciekawią one Ciebie, Łaskawy Czytelniku, a jeśli Cię zaczną nudzić, nie czytaj ich dalej, bo nic nadzwyczajnego w nich nie znajdziesz. Jeśliś polował na rogacze, przeżywałeś to samo. Dla mnie wspomnienia tych polowań są najmilszą pamiątką zapamiętywań się w pięknie przyrody.

M. Mniszek Tchorznicki

ZAPOLSKI DOWNAR H.

Ile myśliwego kosztuje zając?

Jedną z poważnych trosk, obarczających myśliwych i ich stowarzyszenia, jest sprawa kosztów, związanych z polowaniem. Na koszty polowania składają się przede wszystkim: wydatki na sprzęt myśliwski, na zezwolenia na broń, opłata za tereny łowieckie, bezpośrednie wydatki na polowania (koszty przejazdów, opłacenie naganiaczy, kupno nabojów, koszty przewozu zwierzyny). Są to niejako koszty zasadnicze, podstawowe. Do tych kosztów należy doliczyć jeszcze koszty, których powstania należy spodziewać się z chwilą wejścia w życie nowego prawa łowieckiego. Tymi dodatkowymi kosztami będą: obciążenia, związane z obowiązkiem odświeżania krwi zwierzyny, z utrzymaniem straży łowieckiej, z obowiązkiem asekurowania się na wypadek szkód, wyrządzanych przez zwierzynę w uprawach rolnych i szkód, wyrządzanych przez polujących, z obowiązkiem opłat na rzecz Funduszu Łowieckiego i opłat za karty łowieckie. Wreszcie do omawianych kosztów zaliczyć musimy wydatki z tytułu opłat od dzierżawy polowań na rzecz związków komunalnych.

mum przestrzeni niezbędnej, gdyż odpadną z niej drogi, wody, osiedla itp.

Większość myśliwych to ludzie pracy, którzy mogą pozwolić sobie na polowanie tylko w dni wolne od pracy — święta, przeważnie niedziele. Czas polowań dla większości tych myśliwych to jesienny i zimowy sezon polowań, głównie na zające. Tak' h niedzielnych polowań w okresie sezonu zajęczego (listopad, grudzień, połowa stycznia), odliczając dni niepogody, wypadnie około 10.

1.000 ha powierzchni, potrzebnej na jedno polowanie, pomnożone przez 10 polowań, daje 10.000 ha powierzchni, jaką winien wynosić teren łowiecki stowarzyszenia, liczącego około 20 członków. Podkreślamy, że jest to minimum terenu i przy corocznym opolowaniu całej przestrzeni. Ponieważ jednak takie opolowanie jest szkodliwe, teren łowiecki stowarzyszenia o 20 członkach powinien sięgać 20.000 ha. Innymi słowy, na każdego członka stowarzyszenia należy wydzierżawić 1.000 ha i każdy członek musi zapłacić za dzierżawę 1.000 ha.



Z podrywu — *rys. L. Maciag*

Obliczmy w jakim stopniu to wszystko obciąża kieszeń myśliwego, o której niemyśliwi sądzą, że jest nabijana zarobkami n zwierzynie, a tylko myśliwi wiedzą, jak jest wypłukiwana wydatkami na polowanie. Liczmy realnie, praktycznie, od podstaw.

Przypuśćmy więc, że stowarzyszenie myśliwych liczy 20 członków. Jest to ilość członków najodpowiedniejsza. Przy tej ilości członków będzie brało udział w polowaniach kilkunastu myśliwych, gdyż wszyscy nie zawsze będą mieli wolny czas.

Polując systemem kotłów lub miotów, takich kotłów lub miotów zdąży się wykonać w ciągu dnia około 10. Licząc na miot lub kocioł tylko po kilometrze kwadratowym powierzchni otrzymamy 1.000 ha przestrzeni, potrzebnej na jedno polowanie. Jest to mini-

Powyższe obliczenie stanowi podstawowe założenie polowań i kosztów, z jakiego winno wychodzić stowarzyszenie łowieckie, planując polowania i ustalając swój budżet.

Licząc przeciętnie 5 złotych tenuty dzierżawnej od hektara, otrzymamy 100.000 zł kosztów dzierżawy terenu łowieckiego, do których trzeba doliczyć jeszcze 50.000 zł opłaty komunalnej (przy tenucie dzierżawnej do 5 złotych od hektara opłata komunalna wynosi 50% tenuty). Widzimy więc, że koszt dzierżawy terenu łowieckiego wyniesie rocznie **150.000 zł.**

Obliczmy z kolei wydatki na samo polowanie, nie licząc kosztów przejazdów i przewozu zwierzyny.

Przy przeciętnej ilości 15 myśliwych na polowaniu, potrzeba 30 naganiaczy. Dniówka naganiacza

wyniesie mniej więcej 200 zł, przeto naganka jednego dnia będzie kosztowała 6.000 zł, a taki roczny koszt 10 polowań **60.000 zł.**

W obecnych warunkach, przeciętny dzienny wynik polowania na zające przyjąć możemy najwyżej jako 75 sztuk ubitych zajęcy. Według statystyk niemieckich, przy dobrze strzelających myśliwych na zbiorowych polowaniach przypada ogółem 3 strzały na zająca. W naszych warunkach, jak stwierdza obserwacja wielu myśliwych, należy liczyć przeciętnie 5 strzałów. Da to zużycie na jednym polowaniu 37 nanabojów, a na dziesięciu polowaniach w ciągu roku 3.750 nabojów. Ponieważ cena naboju wynosi 55 zł, roczny koszt nabojów da ogółem sumę **206.250 zł.**

Podsumuwując ustalone wyżej ogólne kwoty wydatków, otrzymamy sumę **468.750 zł** łącznych kosztów polowań, jakie musi ponieść w ciągu roku towarzystwo łowieckie i jego członkowie.

Gdybyśmy tę ogólną sumę wydatków podzielili przez ilość członków (20), otrzymalibyśmy **23.437,5 zł** jako roczną kwotę wydatków każdego członka stowarzyszenia. Dzieląc zaś ogólną sumę wydatków przez ilość upolowanych zajęcy otrzymamy **625 zł** kosztów poniesionych na upolowanie jednego zająca.

Jakkolwiek ten koszt 1 zająca może wydawać się wygórowany, to jednak w istocie jest o wiele większy, gdyż nie policzyliśmy kosztów przejazdów myśliwych na polowania, kosztów przewozu zwierzyny, kosztów odświeżania krwi, kosztów obowiązkowej asekuracji, wreszcie wydatków na sprzęt myśliwski, na karty łowieckie, na zezwolenia na broń i wydatków administracyjnych samego stowarzyszenia. Nie uwzględniliśmy tenut dzierżawnych droższych aniżeli 5 zł. od hektara. Nie policzyliśmy też wysiłku myśliwych, jako pracy włożonej w upolowanie zwierzyny, aczkolwiek z punktu widzenia łowiectwa, jako gospodarki narodowej, zwierzyna sprzedawana stanowi towar, a na wartość sprzedażną towaru wpływa, między innymi, ilość pracy, włożonej na jego wyprodukowanie. Sądzimy zresztą, że myśliwi z tego powodu nie będą czuli się pokrzywdzeni, gdyż wysiłków swych, stanowiących ujście dla namiętności myśliwskiej, nie kupują i nie sprzedają.

Podobnych obliczeń możnaby dokonać i dla ustalenia wydatków myśliwego na upolowanie jednego dzika, sarny itp., uwzględniając przy tym, że ubija się tej zwierzyny niewiele i że upolowanie jednej sztuki poprzedza kilka nieudanych polowań.

Jaki wniosek można by wysnuć z powyżej opisanego stanu rzeczy, w szczególności z tego, że, jak dotąd, rynkowa cena sprzedaży zajęcy była niższa od kosztów własnych myśliwego?

Rozumiemy, że cena zająca nie zależy tylko od kosztów jego „produkcji", lecz od ogólnych cen mięsa i popytu na zające. Jednak skoro zając sprzedawany jest towarem, a polowanie jest częścią składową narodowej gospodarki łowieckiej — deficytowa sprzedaż towaru jest zaprzeczeniem każdej racjonalnej gospodarki.

Należałoby zastanowić się, jak usunąć to nienormalne zjawisko, czy przez podniesienie ceny na zające, czy też przez obniżenie wydatków myśliwego i jakich mianowicie?

Myśliwi nie polują dla zarobku, a polowania w Polsce Ludowej muszą być dostępne dla szerokich rzesz obywateli, należy przeto liczyć się z tym, że ogromną większość myśliwych — ludzi pracy, nie stać na dokładanie z własnej kieszeni.

H. Zapolski-Downar

MAREK SADZEWICZ

Bataliony tokują

Na dworcu w Białymstoku oczekuje już popularny, szary Willis prezesa Kowalskiego. Wraz z prezesem Kowalskim jedzie na naszą wyprawę inż. Wacław Geldner, dyrektor spółdzielni „Jedność Łowiecka".

Mamy udać się na rozlewiska Biebrzy i Narwi, prawdziwego królestwa ptactwa wodnego. Mamy tam znaleźć się w szczytowym momencie godów. Specjalnym naszym zadaniem jest obserwacja batalionów i współdziałanie z ekspedycją filmową mistrza Puchalskiego, który na taśmie filmu naukowego zamierza utrwalić praktyki batalionów.

Chcemy ruszyć raz, ale nie tak to łatwo wyrwać się z Białegostoku. Jesteśmy przecież w samym sercu Podlasia, gdzie ludzie nie spieszą się i potrafią zawsze w sposób uprzejmy i obszerny wytłumaczyć, dlaczego nie mogą spełnić tego, o co ich prosimy. Takim to trybem kelner wytłumaczył nam dlaczego nie ma na stole musztardy, oraz dlaczego podał parzoną sałatę, podczas kiedy prosiliśmy go o świeżą. Wulkanizator wytłumaczył równie przekonywująco i łagodnie dlaczego opona nie jest gotowa na godzinę, na którą miała być z całą pewnością gotowa (nawiasem mówiąc warsztaty wulkanizacyjne z reguły mieszczą się w Białymstoku w bezpośrednim sąsiedztwie składu trumien. Jest to widocznie ostrzeżenie dla ludzi, śpieszących się niepotrzebnie).

Droga nasza wiedzie przez Jeżewo — siedzibę ojca polskich ludoznawców, Zygmunta Glogera, gdzie mieściło się niegdyś jego muzeum archeologiczne i folklorystyczne; przez starożytną wieś Mężenin, wielokrotnie notowaną w zbiorach pieśni i obrzędów, przez Rzędziany — rodowy zaścianek sienkiewiczowskiego „Imć Pana Rzędziana".

Przy rozwidleniu Narwi i Biebrzy, albo Bobry — dla obfitości bobrów niegdyś tak zwanej — witają nas na wzgórzach wysokiego brzegu zaścianki: Rutkowskie, Burzyn, Brzosty, Mocarze...

Szczere to Mazury. Lud otwarty, gościnny i dziarski, nigdy nie znał pańszczyzny. Mówią tu „psiwo" i „psies", ubranie zwą „obleczeniem". Tak prawie jak w owych czasach, kiedy toczyli boje z tajemniczymi Jadźwingami i Prusami.

Promem przedostajemy się na drugi brzeg. O tej porze rzeka jest szeroka, ale wprawny przewodnik, szybkimi poruszeniami „kulki" po żelaznej linie, przeprawia prom wraz z Willisem w przeciągu kilku minut. Tym promem, jak widzieliśmy później, przepływają z jednego brzegu na drugi całe stada krów,

które z lekkim zdziwieniem, ale bez oporu, odnoszą się do tego sposobu podróżowania.

W Rutkowskim, w ładnej chałupie sołtysa, mieści się kwatera warszawskiego Koła Miłośników Łowiectwa. Z przyjemnością stwierdzamy — wiemy to zresztą od poprzedników że na kwaterze nie można znaleźć dodatkowej „zwierzyny". Ludność tu jest czysta, chałupy utrzymane schludnie. Charakterystyczne dla łomżyńskiego budowle gospodarskie z kamienia polodowcowego, utrzymane porządnie.



Na rozlewiskach Biebrzy *fot. W. Puchalski*

Z opłotków zaścianka Rutkowskie — jak okiem sięgnąć — widać rozlewiska rzeczne. O tej porze roku przyrzeczne jeziora Białe, Ostowe, Pasmugi, Orzołek, zlewają się w jeden obszar wodny. Całymi dniami można tu krążyć na łódce pośród szuwarów, traw i kęp wikliny. Ptactw obfitość. Już zaraz po wylądowaniu spotkaliśmy piękny okaz czapli, bobrującej po wybrzeżu. Roje ptactwa na rozlewiskach tutejszych odbywają swoje gody i lęgi. Suną tu klucze żurawi, brodzą czaple, nurkują perkozy, trzepocą spaśne łyski i różne odmiany kuligów, zrywają się roje cyranek i krzyżówek, siwaków i płaskonosów. Niewidzialny bąk odzywa się głębokim basem ze swojej kryjówki. W powietrzu waży się kasztanowaty, błotny jastrząb, wypatrując zdobyczy.

Prezes Kowalski nie lubi tracić na próżno czasu. Strasznie zawzięty na te biedne kaczory, które oddają się właśnie w całej pełni rozkoszom narzeczeństwa i małżeństwa. Towarzyszę mu, bo prezes Kowalski to mistrz w wabieniu kaczora. Lokujemy się w dogodnej kępie. Słońce nad zachodem. Co chwila przelatują, trzepocąc szybko skrzydłami, pojedyncze kaczki, to znów całe ich stadka.

Koui kur kur kur... Mistrz Kowalski wabi. Do złudzenia naśladuje głos tęskniącej samiczki cyranki. Już po upływie paru minut nadlatuje pierwszy gość. Zniża się, krąży chwilę nad kołyszącą się na wodzie sztuczną kaczką, i... szybko w popłochu odlatuje. To samo drugi, trzeci. Coś tu nie jest w porządku. Prezes Kowalski lustruje sytuację. Cóż się okazuje? Sztuczna kaczka jest nieco przechylona na bok. Nienaturalne położenie kaczki niepokoi widocznie nadlatujące kaczory. Różnica w położeniu jest minimalna, a jednak ma znaczenie decydujące. Nie należy się dziwić. Gdybyśmy na przykad napotkali na swej drodze kobietę pochyloną pod kątem 45°, to zapewne również byśmy uciekali...

Błąd został szybko naprawiony. Znowu słychać wabiące podstępnie kui kur kur kur. Po chwili z tej i z tamtej strony rozlegają się nabrzmiałe namiętnością samcze odzewy. Nadlatuje kaczorek. Zrobił kilka kółek, opuszcza się powoli nad złudną topielicą. Teraz głos wabiący zmienia swoją tonację i frazy. Mowa sztucznej piszczałki jest bezbłędna. Kaczor opuszcza się na wodę — doświadczony myśliwy znowu zmienia głos wabienia. Cały „cyrańczy" język miłości. Prezes Kowalski dziesięć lat poświęcił na opanowanie tego języka. Jak widzimy trud nie był daremny. Pada strzał. Nie pozostaje nic innego, jak zabrać do łódki ciepłe jeszcze zwłoki nieszczęsnego kochanka.

Strzał nie wypłoszył innych adoratorów. Miłość jest głucha na wszelkie odgłosy, nie będące nią samą. Nadlatuje jeden, drugi, trzeci i czwarty adonis i każdy z nich kolejno pada ofiarą widmowej kochanki, kołyszącej się obojętnie na powierzchni wody.

Słońce zaszło. Ruszamy w kierunku domu. Przewodnik bezszelestnie wiosłuje „pychem".

Mój towarzysz nie daje za wygraną. Co chwila jeszcze przylatują w kierunku noclegu już nie tylko cyranki, ale i kaczory „pełnokalibrowe". Strzał za strzałem i — mamy w łódce piękny okaz płaskonosa. To chyba najwspanialej upierzony przedstawiciel kaczego rodu. Mamy również dla odmiany i siwaka ze łbem koloru brązu. Będziemy mieli do kapeluszy piórka, godło triumfującej męskości kaczorów. Nie długo, a szata godowa spadnie i kaczory upodobnią się do swoich skromnych towarzyszek.

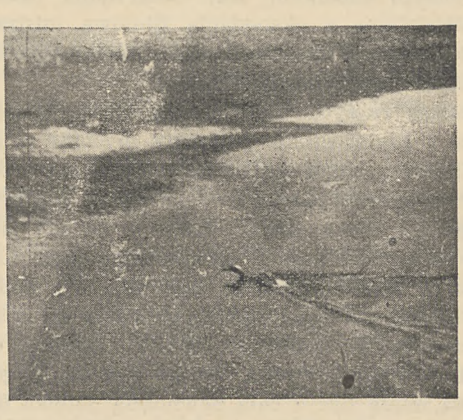
Krótki nocleg na kwa^erze. Jajecznica „bez pierza" smakowała wyśmienicie.

Wyruszamy jeszcze nocą.

Spokojna powierzchnia rozlewiska mieni się metalicznie w poświacie zachodzącego księżyca. Woda wygląda jak przepaścista czeluść, chociaż głębokości niewiele ponad pół metra. Cisza. Nawodny ludek jeszcze śpi w kępach i krzakach.

W głębokiej ciszy słychać pierwszy radosny głos budzącego się życia. Tirik tirik tirik. Tir tir tirik tirik tir tir... To maleńki lilipuci wróbelek trzcinny czyni pobudkę.

Za nim już ożywia się cały świat w coraz jaśniejszym brzasku. Kontury krzaków, delikatny rysunek sitowia i daleki zarys wysokiego brzegu występują coraz wyraźniej. Bach!! Padł perwszy strzał. Pierwsza ofiara budzącego się dnia.



Kaczorek spieszy na głos wabiarza
fot. W. Puchalski

Rybitwy krążą nerwowo, pośpiesznie ślizgowym lotem zniżając się po zdobycz, którą wyrywają sobie później zazdrośnie.

Na brzegu widzimy kilka postaci ludzkich. To mistrz Puchalski widocznie już przyjechał. D bijamy do brzegu, żeby powitać ekspedycję filmową.

Inż. Puchalski stworzył sobie jedyną w swoim rodzaju pozycję międzynarodową. Jego film naukowy z życia ptaków jest prawie bezkonkurencyjny. Kiedy patrzymy na nadzwyczajność ptasiego życia przesuwającą się przed nami na ekranie, ani nawet do głowy nam nie przychodzi jakiej to sztuki i pracy - rezultat.

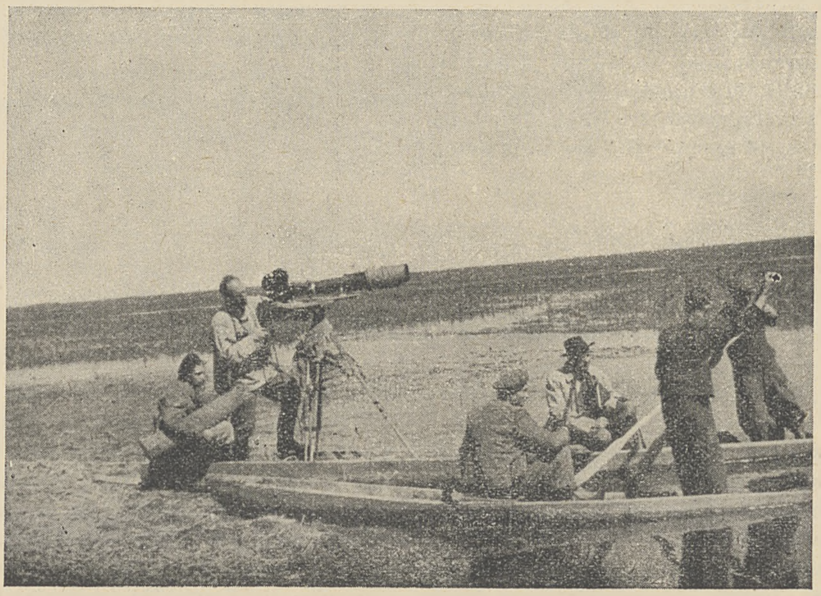
Inż. Puchalski wyruszył na swój połów w marcu. Powróci do domu gdzieś pod twardą jesień. Przez cały ten czas włóczy się po mokradłach, rzekach, jeziorach i lasach, podchwytuje najbardziej wstydliwe tajemnice ptaków i utrwala je na taśmie filmowej. Nieraz na jedną tylko sytuację, na jeden upragniony moment wypada mu czekać w budce czatowniczej, albo zgoła po pas w wodzie, przez sześć czy osiem godzin. Sypia tylko „dorywkami" w różnych chałupach i budach leśnych, odżywia się chlebem, mlekiem i jajkami, żyjąc w ciągłym napięciu pewno od dwóch tygodni, co nie odbiera młodzieńczego charakteru jego twarzy.

Mistrz Puchalski, wieczny włóczęga leśny, rzeczny i jeziorowy, opowiada najnowsze plotki z życia swoich przyjaciół. O tym, jak to wrony — rabusie, porywają jajka kormoranom w rezerwacie na jeziorach mazurskich. Jak te bezczelne złodziejki posunęły swoje zuchwalstwo do tego stopnia, że ukradły jajka wspaniałego orła berkuta. O tym, gdzie znajdują się jeszcze pojedyncze gniazda orłów, puchaczy, czarnych bocianów. Ma w głowie całą „ornitogeografię" Polski.

Dzisiaj interesują go batalion y.

Batalion — to zagadkowy ptak, fenomen ptasiego gatunku.

Nasz „gondoliero" — chłopiec dziesięcioletni, ale już doświadczony przewoźnik z Rutkowskiego, wskazuje tajemniczym gestem: ‚O, bataliony!"



Ekipa filmowa wyrusza... *fot. W. Puchalski*

Śledzimy niespokojny rój około setki niewielkich ptaków, który przeleciał szybko, trzepocąc skrzydłami i zapadł gdzieś w mokradłach.

Trzeba podpłynąć ostrożnie, żeby zobaczyć je z bliska, podpatrzyć ich oryginalne praktyki godowe. Dobrze też byłoby, gdyby udało się nam ustalić miejsce toku. Oddalibyśmy w ten sposób usługę ekspedycji filmowej.

Batalion — to dziw ptasi. Należy do ptaków brodzących, byłby podobny do jakiejś słonki, gdyby nie...

Pojawia się w końcu kwietnia, przylatując z krajów cieplejszych. Wkrótce też wypierza się w szatę godową, odróżniającą go nie tylko od bliskich krewniaków, ale chyba również od wszystkich ptaków w tej części świata.

Nie o to chodzi, że niewielki ptaszek przybiera piękną krezę, upodobniającą do eleganta z czasów Ludwików. Fenomen natury polega na tym, że każdy batalion samiec upierzony jest inaczej i podobno nie sposób jest znaleźć dwóch batalionów jednakowo ubarwionych. Pojawiają się więc bataliony siwe, żółte, granatowe, czarne, białe, rozmaicie nakrapiane i łaciate.

Ale to nie wszystko. Do dziwacznych obyczajów batalionów należą toki bojowe, którym zawdzięcza on swoją nazwę.

W tym okresie samce, współzawodniczące ze sobą o serce szarych, niepozornych jednolicie upierzonych samiczek, staczają ze sobą boje zbiorowe. Formują się w oddziały — „bataliony" i uderzają na siebie wzajem.

Walki indywidualne samców o samice w okresie godowym — to zjawisko w świecie zwierzęcym regularne. Ale walki masowe, zorganizowane walki oddziałów tego samego gatunku? To już sprawa niemalże ludzka, z tą różnicą, że boje batalionów są bezkrwawe. Zdaje się, że chodzi tylko o to, żeby wobec dam serca wykazać się dzielnością i wspaniałą męską postawą. Nie to, co na przykład jelenie, staczające pojedynek na śmierć i życie — o samicę. I nie to, co

ludzie, którzy krwawią się w masowych zapasach, nie zawsze wiedząc o co.

W oczach myśliwego batalion jest ptakiem — efemerydą.

Pojawia się w kwietniu, aś w końcu maja nagle znika. W rzeczywistości sprawa polega na tym, że batalion-samiec po ukończeniu okresu godowego porzuca pyszny kołnierz i barwne pióra, odziewa się w szaraczkową szatę i ginie w tłumie pokrewnych, skromnych brodźców i bekasów. Nie ma już bataliona. Żyje w dalszym ciągu wśród rodzinnych mokradeł, ale jako zupełnie odmienna osobistość. Traci wszystko, co wyróżniało go jaskrawo i wspaniale przez krótki, motyli niemal okres godowej ferii.

W Polsce batalion — dziwny ptak — występuje tylko na Narwi i Biebrzy.

Powoli, ostrożnie podpływamy do małej wysepki. Obserwujemy przez lornetkę.

Wielobarwne hufce zbliżają się do siebie, cofają, nabierają rozpędu, ścierają. Mali wojownicy z nastroszonymi krezami podbiegają do siebie drobnym kroczkiem. Patrzą sobie zaczepnie w oczy. Wspinają się na nóżkach, puszą piórka, pragną wydać się większymi, bardziej groźnymi i wspaniałymi. Podbiegają do siebie, uderzają się piersiami, biją skrzydłami, obalają, skubią za piórka.

Tymczasem przedmiot współzawodnictwa — skromne szare kurki, brodzą gdzieś sobie na boku i wydziobują pożywienie, nie interesując się pozornie przebiegiem zorganizowanego na ich cześć turnieju.

Na niewiadomy sygnał, zapasy nagle przerywają się, uczestnicy odlatują zgodnym stadkiem, nie pozostawiając trupów ani rannych, a tylko wydeptane tokowisko. Nie wiadomo czy to była wojna, czy tylko rycerska zabawa.

Błądząc po rozlewiskach i jeziorach, odnajdujemy na wysepkach kilka wydeptanych laców turniejowych. W pobliżu tych miejsc filmowcy ustawią swoje budki czatownicze i nakręcą film dokumentarny. Nie wiadomo, czy w niedalekiej przyszłości spotkamy już na naszych ziemiach bataliona. Cofa się on wciąż, zajmując coraz szczuplejsze tereny.

Życie bataliona związane t z wielkim mokradlem. A te znikają wraz z postępem cywilizacji.

M. Sadzewicz

Inż. **TADEUSZ SLIWIŃSKI**

Lasy i nieużytki

Wiele w Polsce jest nieużytków, a stosunkowo mało lasów.

Ilość nieużytków i tak zwanych „gruntów innych" wynosiła przed wojną, w stosunku do ziemi użytkowej, 15%, a w stosunku do lasów 45%. Jest to kapitał martwy, który nie przynosi korzyści.

Dwie długotrwałe wojny, które przetaczały się przez ziemie polskie, jeszcze pogorszyły nasze leśne pogłowie i przyczyniły się do powiększenia nieużytków. Zaniedbano także lasy w pobliżu Warszawy, w których rozwijają się szkodniki, niszczące młode sosny. Należy też uwzględnić, że na obszernych terenach byłej Kongresówki, gospodarka leśna, która musi być długoplanową, jeszcze przez rząd carski nie była przez przeszło 100 lat racjonalnie prowadzona. Nie wysadzano takich gatunków drzew, które ze względów hydrologicznych najwięcej odpowiadały danym terenom, nie osuszano, choćby przez przekopanie zwykłych rowów, terenów wybitnie podmokłych. Dlatego też mamy duże obszary niby to lasów, które lasami właściwie nie są, bo nie dają żadnych korzyści, są więc nieużytkami. Nie prowadzono prawie zupełnie przez okres stuletni walki z piaszczystymi nieużytkami i lotnymi piaskami, czego przykładem może być pustynia Błędowska o powierzchni około 32 km². Pod zaborem niemieckim, a częściowo i austriackim, nie prowadzono również racjonalnej gospodarki leśnej. Wprowadzono jednogatunkową kulturę drewna, skutkiem której olbrzymie, sięgające setek tysięcy hektarów, obszary uległy zniszczeniu przez pasożyty leśne, jak: sówka chojnówka, mniszka, barczatka itp. Nie uwzględniano również, że las musi mieć swój podszyt i runo, które stwarzają naturalne warunki dla wegetacji.

My, myśliwi, znamy te lasy, te pustkowia w Wielkopolsce i na Pomorzu, gdzie z powodu „naukowej" metody niemieckich leśników, wyginęły lasy wielomiliardowej wartości. Tymczasem Polska potrzebuje dla odbudowy kraju drewna budulcowego, tj, desek, kantówki i szalówki; potrzebuje drzewa na stemple dla górnictwa węglowego, wreszcie potrzebuje masy drzewnej dla przetwarzania jej na celulozę, papier i inne przetwory drzewne. Nawet odpadki takie jak trociny, znajdują dziś zastosowanie dla scukrzenia i wyrobu paszy, opartej na zamianie azotu mineralnego na organiczny przez hodowlę drożdży białkowych lub tłuszczowych. Tych kilka przykładów dobitnie wskazuje jak ważną rolę odgrywają lasy w naszej gospodarce narodowej. Należyta gospodarka leśna może wybitnie przyczynić się do eksportu z Polski wysoce cennych wyrobów z drzewa, a przez to wywierać wpływ na nasz bilans handlowy.

Podniesienie gospodarstw leśnych na należytą stopę nie jest rzeczą łatwą, wymaga dużych nakładów, gruntownego planowego przygotowania i ześrodkowania wysiłków, odpowiednich do racjonalnego wykorzystania poszczególnych gruntów dla hodowli czy to sosny ,czy dębu, świerka lub olszyny. Szczególnie ważne jest wykorzystanie nieużytków w okolicach Warszawy. Już w pobliskim Rembertowie spotykamy niezużytkowane przestrzenie, w których niewidoczny jest postęp gospodarczy; nie posunęły się od lat ani gospodarka rolna, ani leśna. A tymczasem Warszawa, jako wkrótce blisko milionowe miasto, daje olbrzymie ilości odpadków płynnych, które nadają się specjalnie do polepszenia gleby i zużytkowania jej dla celów leśnictwa lub rolnictwa. Obliczono na zasadzie analiz, że dzienna ilość azotu, spływającego do Wisły, przedstawia wartość około 100.000 zł przedwojennych czyli rocznie przeszło 36 milionów, a więc ilość, którą może wyprodukować średnia fabryka związków azotowych.

Cały ten azot spływa do Wisły, zatruwając rzekę na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów w dół od

Warszawy i niszcząc w niej rybołówstwo. Taki np. Otwock żył przed wojną z klimatyki i miał rocznego dochodu 300.000 zł przedwojennych. Obecnie Otwock nie ma odpowiedniego leśnika, lasy zupełnie zaniedbano, szkodników, jak zwójki - sosnóweczki, zwójki-pędówki nie zwalcza się, wskutek czego sosna wyginie. Na terenie Falenicy i Otwocka jest 900 ha nieużytków, które trzeba zalesić. Również na terenach Milanówka i Leśnej Podkowy widoczne są różne gatunki zwójek, których gąsienica rozwija się w pędach i niszczy młode sosny.

go piasku, z bardzo niewielką przymieszką gliny, na podłożu gliniastym spoczywające. Nawożone i uprawiane umiejętnie dają one wyborne plony. Dodanie marglu działa jeszcze skuteczniej". Jeśli więc idzie o wykorzystanie nieużytków dla obsadzenia drzewostanem to sytuacja będzie podobna.

P. p. E. Chmurzyński i L. Makarewicz, w broszurze pt. „Sadźmy las na nieużytkach", przytaczają trudności. które powodują zwlekanie z przystąpieniem do zalesień. Jako najważniejsze podają: „lęk przed dużymi kosztami, trudności otrzymania sadzonek i narzędzi,



Kulon wielki *fot. W. Puchalski (z serii nagrodzonej)*

W Holandii jałowe piaski, wydarte z morza, zamieniono na ogrody. U nas piaski trzeba odpowiednio doprawić za pomocą gliny, zielonych nawozów, szczególnie łubinu żółtego, który udaje się na najlichszych piaskach; można też piaski poprawić przy pomocy odpadków miejskich lub przemysłowych, wreszcie stosując torf w postaci ściółki, który, akumulując wilgoć, sprzyja równomiernej wegetacji roślin.

Uprawą piasków i przekształceniem ich na ogrody zajmował się u nas Edmund Jankowski, znany pionier w zakresie ogrodownictwa. W zwięźle ujętej książce pod tytułem „Ogrody na piasku" omawia p. Jankowski położenie piaszczystych wydm na prawym brzegu Wisły i stwierdza, że „już domieszka 3% gliny nadaje ziemiom piaszczystym własności ziem gliniastych i czyni je żyznymi". „Mamy tego dowód — pisze p. Jankowski — na bielicach, które są u nas bardzo rozpowszechnione. Są to ziemie złożone głównie z miałkie-

brak instruktorów i nieznajomość najwłaściwszych sposobów zalesienia, w połączeniu z odstraszającymi przykładami nieumiejętnie przeprowadzonych prac, zakończonych niepowodzeniem, wreszcie nieosiąganie wzajemnego porozumienia i wspólnego połączenia się dla tym łatwiejszego dojścia do celu... Obawa wielkich kosztów zalesiania musi być uznana za nieuzasadnioną. Wiemy, że las odnawia się swymi własnymi środkami. Jeśli chcemy go stworzyć sztucznie na ogołoconej zeń przestrzeni, wystarczy dołożyć do tego pewną ilość pracy w uprawę gleby, wyhodowanie i wysadzenie sadzonek... Koszt zalesienia sprowadza się zatem do kosztu pracy i kosztu nasion".

Jako przykład racjonalnej uprawy nieużytków może służyć przekształcenie olbrzymiego torfowiska pod Warszawą, zwanego P u l w y; bagno to o obszarze 2.400 ha, zamieniono na urodzajne pola, na których rośnie nawet pszenica. Przy meliorowaniu tego bagna,

jak podaje Roman Burzyński, zaniechano kosztownych drenów, a odwodnienie przeprowadzono otwartymi rowami, kopanymi zaledwie co 300 metrów. Różnica w kosztach tego rodzaju melioracji, w porównaniu z kosztami, tam gdzie stosowano dreny, jest olbrzymia, bowiem koszt drenowania wyniósł 1.000 — 2.000 zł przedwojennych za hektar, natomiast na bagnie Pulwy zmeliorowanie hektara kosztowało wszystkiego 270 zł. Wartość uzyskiwanego przed melioracją siana, za które — jako za kwaśne — płacono 5 — 6 zł przedwojennych z 1 ha, znacznie wzrosła, bowiem po osuszeniu uzyskuje się z hektara siano o wartości 300 zł.

Zbiorowa praca zawsze dać może należyte owoce. W Małopolsce środkowej zamieniono 10.518 ha bagna w urodzajne tereny. Nieużytki, które tam oceniano przed wojną na 60 koron za morgę, podniosły się w wartości do 300 zł przedwojennych.

Również w okolicach Pucka osuszono przed wojną teren rzeki Płutnicy o przestrzeni 1.440 ha, co jest ważne dla aprowizacji Gdyni i Wybrzeża, bowiem w powiecie morskim znajdowało się 13.000 ha nieużytków.

Do organizacji zalesienia należy pociągnąć przede wszystkim młodzież wiejską przedpoborową, w wieku 17 — 20 lat, która, po za pracą przy siewach i sadzeniu, żniwach i zbiorach okopowych, ma co najmniej 100 — 120 dni wolnych, które mogłaby poświęcić dla tego przyszłego bogactwa, jakim są lasy dla Polski. Przekształcenie nieużytków w lasy to wkład, który sowicie się oprocentuje, to pomnożenie naturalnego bogactwa kraju, to praca dla przyszłości narodu.

Tadeusz Śliwiński

HENRYK ZAPOLSKI-DOWNAR

W sprawie terminów ochronnych

Nie ulega wątpliwości, że myśliwi, jako część społeczeństwa, nie istnieją dla zwierzyny, tylko zwierzyna istnieje dla myśliwych. Z tego punktu widzenia i terminy ochronne istnieją dla potrzeb myśliwych, choć bezpośrednio przeznaczone są dla ochrony zwierzyny. Ochraniając zwierzynę, terminy te umożliwiają praktycznie myśliwym możność polowania.

Terminy ochronne są ustanawiane z uwzględnieniem pory roku i czasu rozmnażania się zwierzyny. Jeżeli jednak obejmują okresy dłuższe, to tylko w tym celu, ażeby ograniczyć czas wybijania zwierzyny i dać jej w ten sposób dodatkową ochronę.

Z punktu widzenia dokładności, terminy ochronne są ustanawiane dość dowolnie, przeważnie z zaokrągleniem na pierwsze, piętnaste lub ostatnie dni miesiąca. Dla okresu rozmnoży zwierzyny różnica kilku dni nie ma znaczenia, ma jednak znaczenie dla myśliwych od strony zasadniczej i praktycznej.

Obecnie w Polsce wszystkie urządzenia przeznaczane są przede wszystkim dla ludzi pracy. Tak też jest i z łowiectwem. Jeżeli jednak początek polowań (po upływie terminu ochronnego) rozpoczyna się np. pierwszego dnia miesiąca, a ten dzień przypada na poniedziałek, to przeciętnie biorąc, ludzie pracy mogą rozpocząć sezon łowiecki dopiero od następnej niedzieli, gdyż w dni powszednie nie mogą opuścić warsztatów. Z tego powodu, jeżeli koniec sezonu polowań przypadnie na sobotę, to ludzie pracy będą mieli sezon skrócony faktycznie o 6 dni. Przez te 6 dni początku sezonu, tj. od poniedziałku do niedzieli lub na końcu sezonu polowań, tj. od niedzieli do soboty, z polowań będzie mogła korzystać tylko „prywatna inicjatywa". Czy to jest słuszne? Jak wspomnieliśmy różnica kilku dni terminu ochronnego nie ma dla zwierzyny znaczenia.

Uwzględniając powyższe, powinniśmy rozważyć czy terminów ochronnych nie należałoby ustanawiać z uwzględnieniem dni pracy i świąt, nawet z przedłużeniem okresów ochronnych, gdyby nie mogły być odpowiednio skrócone.

H. Zapolski



Lis u wodopoju *fot. I. Puchalska (z serii nagrodzonej)*

ANTONI SZASZKIEWICZ

O czystość języka łowieckiego

W dobie obecnej, kiedy w ramach demokratyzacji łowiectwa polskiego uprzystępnia się szerokim rzeszom myśliwych możliwość wypowiadania się na łamach pism łowieckich, należało by baczyć, by piśmiennictwo to było bez zarzutu.



Bąk na gnieździe *fot. W. Puchalski (z serii nagrodzonej)*

Autorzy artykułów dla Łowca Polskiego powinni zdać sobie sprawę, że artykuł drukowany to jak gdyby referat, wygłoszony przed wielotysięczną rzeszą czytelników, w którym każde zdanie, słowo niemal, powinno być dokładnie przemyślane, by całość wypadła rzeczowo i dobrze, zwłaszcza pod względem czystości języka łowieckiego.

Nie chodzi tutaj o temat, gdyż każdy z łowiectwem związany będzie w pewnym stopniu interesujący, obojętne czy tematem będzie gruby odyniec, czy też pospolita kuropatwa. Dziś, kiedy liczna rzesza młodych myśliwych garnie się pod sztandary Św. Huberta, dla wielu z nich Łowiec Polski i tylko on, spełnia ważną rolę dydaktyczną, będąc może jedynym źródłem, z którego czerpać będą fachową wiedzę łowiecką. Dlatego też Łowiec Polski — to jedyne, fachowe pismo w kraju—powinien stać na najwyższym poziomie. Niestety, ciągle jeszcze spotykamy tu braki na odcinku czystości języka łowieckiego.

Przejdźmy z kolei do najczęściej spotykanych wadliwości i błędów. Jednym z pierwszych to: „wieńce jelenia". Trzeba sobie zdać sprawę, że nazwa wieńca jeleniego pochodzi stąd, że dwie tyki rogów jelenich, połączone w górze idealną linią, kształtem przypominają wieniec. Logicznie zatem biorąc, jeleń dźwiga na łbie wieniec, a nie wieńce (w liczbie mnogiej).

Jakże często fałszywie interpretowany jest zwrot: „oddać strzał". Przecież oddać można tylko coś, co się wzięło (poza znaczeniem abstrakcyjnym jak np. oddać część Bogu). Strzał się zatem daje a nie oddaje.

Spotyka się również często: „grubsza zwierzyna". Co to jest? Niedźwiedź, ryś, jeleń, dzik, wilk, to gruba zwierzyna, natomiast sarna, lis, zając, bażant itd., to drobna zwierzyna. Gdzie zatem jest tu jakieś przejście pośrednie między jedną a drugą grupą, które by usprawiedliwiało nazwę „grubsza zwierzyna"? Najmniejszy nawet warchlak będzie zawsze grubą zwierzyną, a rogacz, choćby kapitalny, nie przestanie być zwierzyną drobną.

Dalej: „odyńczuk" lub „odyńczak". Można użyć wyrazów jak: dziczek, warchlaczek, ale nie należy zdrabniać słowa odyniec, którego już sama nazwa nosi w sobie cechy zupełnej dojrzałości danego osobnika.

Dzik, który przekroczył pewien wiek i wagę, a przestał już być wycinkiem, staje się przez to samo odyńcem. Zdarzają się jednak pewne anomalia pod względem rozwoju szabel i fajek; mówimy wtedy „odyniec z szablami wycinka", względnie na odwrót. A więc w konsekwencji odyniec — gruby, kapitalny, ale zawsze tylko odyniec.

Aż dziw doprawdy, by dziś jeszcze przypominać niektórym myśliwym-autorom, że na tropie postrzelonego zwierza jest farba, a nie „krew", że jeleń ma biegi, a nie „nogi" czy „odnóża". Niemiecki „weksel" dawno już zastąpił polski przesmyk, a „flank" czy „flankę" skrzydło. Zwierzyna strzelona nie „markuje" a znaczy.

Dlaczego ciągle jeszcze strzelamy z niemieckich „flint" i francuskich „fuzyj"? Czy nie mamy polskich strzelb śrutówek, a chociażby broni w znaczeniu ogólnym?

Rzadziej spotykamy niewłaściwe użycie wyrazów, jak samiec lub samica, gdyż każda gruba zwierzyna posiada nazwę dla swego rodzaju. Mówimy np. „stosunek łań do byków", a nie samic do samców jelenich. Dlatego też zdanie takie jak: „Odstrzeliłem ze stada dzików samicę", jest niewłaściwe; należy użyć: lochę, samurę.

Czy wyrazy takie, nawet w najswobodniejszym wyrażaniu się w piśmie, jak: kropnąć, ustrzelić, rąbnąć, zwierzak i wiele innych, nie budzą pewnych zastrzeżeń? Albowiem pamiętajmy, że między mową potoczną a słowem pisanym istnieje duża różnica, a co wolno w pierwszej, jest często nawet nie do pomyślenia w drugim, choćby tylko w myśl przysłowia: Verba volant, scripta manent".

Na zakończenie dodam, że kiedy niedawno zwróciłem uwagę jednemu z młodych myśliwych na niestosowne wyrażanie się, odpowiedział mi mój rozmówca, że „tak piszą w Łowcu Polskim, a tam chyba najlepiej wiedzą jak się ma mówić". Skapitulowałem.

Musimy koniecznie dbać o czystość języka łowieckiego. Unikajmy wyrazów obcych i niewłaściwych, w przeciwnym razie zaczniemy się cofać do przeszłości, podczas której piśmiennictwo nasze, zbałamucone naleciałościami trzech zaborów, szukając dróg wyjścia, posługiwało się najdziwaczniejszymi wyrazami.

Upowszechniając organ nasz — Łowiec Polski, nie obniżajmy jego poziomu i wartości.

Kraków. **A. Szaszkiewicz**

MARIAN BIELEWICZ

Polujemy na kaczki

Wiemy wszyscy ile cudownych przeżyć myśliwskich, niezapomnianych wrażeń i przygód łowieckich dostarcza nam corocznie sezon kaczy. Wraz z mijającym okresem wiosny coraz niecierpliwiej spoglądamy na kartki kalendarza, licząc tygodnie, a w końcu dni, dzielące nas od drugiej połowy lipca, a tym samym inauguracyjnego polowania na kaczki. Wreszcie z rozkoszą zrywamy kartkę z datą 15 lipca, przeglądamy dubeltówkę, która od czasu ciągu słonek i toków cietrzewi spokojnie spoczywała w futerale, i z brzaskiem dnia następnego wyjeżdżamy własnym Chevroletem, ewentualnie bardziej niezawodną PKP na miejsce zbiórki.

Całodzienna palba, to najmilsza muzyka dla uszu uczestników polowania. Torba myśliwska staje się coraz lżejsza po wystrzelonych ładunkach, mało zaszczytne dublety do nieostrożnych kłapaczy idą w parze z pudłami do wystraszonych kaczek, ciągnących górą. W końcu, kryjące się za horyzontem słońce przypomina nam o zakończeniu łowów, tym bardziej, że na wieczorne przeloty kaczek w lipcu jeszcze liczyć nie można.

Tradycyjnym zwyczajem robimy rozkład upolowanej zwierzyny, a następnie jej rozdział pośród uczestników przy pomocy mniej lub więcej sprawiedliwego systemu. Rzecz zrozumiała, że operujemy przy tym wyłącznie ilością ustrzelonych kaczek, a jeśli podziału nie da się równo dokonać, niektórzy z uczestników otrzymują dwie kaczki małe, wzamian za jedną dużą. Na tym kończy się zazwyczaj część oficjalna polowania, zaś podczas jego części nieoficjalnej w pobliskiej restauracji przygodny słuchacz może dowiedzieć się, ile kaczek ustrzelił każdy z przechwalających się uczestników polowania. Gdybyśmy natomiast postawili pytanie: j a k i e t o b y ł y k a c z k i, czy poza krzyżówkami, cyrankami i podgorzałkami nie było pośród nich i innych gatunków, nikt albo bardzo niewielu spośród hałaśliwego grona myśliwych udzieliłoby mogło wystarczającej odpowiedzi.

Niestety, przyznać trzeba, że znajomość kaczek krajowych ogranicza się wśród przeciętnej braci myśliwskiej do trzech wyżej wymienionych, a może jeszcze dwóch więcej gatunków, podczas gdy jest ich u nas blisko 5 razy więcej.

Co prawda nie każdy z nas chce lub może być specjalistą - ornitologiem, do którego, między innymi, sprawa rozróżniania gatunków należy, lecz w tym wypadku chodzi o zwierzynę łowną, na którą tak często polujemy, a którą znać powinniśmy. Dokładna znajomość ptactwa łownego, w omawianym wypadku kaczek, może mieć poważne znaczenie naukowe dla badań ornitologicznych w kraju, myśliwym zaś przysporzy nowych emocji łowieckich, powodując bliższe zainteresowanie się ustrzelonym ptakiem. Nie jest moim zadaniem podać czytelnikom klucz do oznaczania gatunków krajowych kaczek, gdyż wydawnictwa tego rodzaju istnieją w języku polskim, lecz starać się będę wzbudzić zainteresowanie wyliczeniem i krótką charakterystyką powszechniejszych u nas gatunków.

Na wstępie stwierdzić należy, że nie wszyskie kaczki, strzelane na terenie naszego kraju, mają tutaj swoją ojczyznę. Znaczną ich ilość zaliczamy do gatunków krajowych na tej podstawie, że pojawiają się u nas mniej lub więcej regularnie w okresie przelotów, które przypadają corocznie wiosną i jesienią. W tych okresach pokazują się kaczki, latem zupełnie nie spotykane, ułatwiające myśliwemu ich rozpoznanie barwą upierzenia, charakterystycznym lotem lub wydawanym głosem.

Poważna trudność właściwego określenia gatunku stanowi problem dwukrotnej zmiany upierzenia kaczek w ciągu roku, powodującej zasadniczą niejednokrotnie różnicę pomiedzy upierzeniem letnim, a godowym oraz wybitne różnice w obrębie tego samego gatunku między samcem a samicą. Pełnię godowego upierzenia osiągają kaczki na wiosnę, przy czym upierzenie kaczora jest prawie zawsze barwniejsze i efektowniejsze niż samicy. Różnice upierzenia letniego i godowego są tak ogromne, że posiadając dwa wypchane okazy z różnych okresów roku, wierzyć się wprost nie chce, że przedstawiają ten sam gatunek.

Wszystkie kaczki należą do obszernej rodziny A n a t i d a e, rzędu A n s e r i f o r m e s, czyli blaszkodziobych i według obecnie przyjętej systematyki dzielimy je na 3 podrodziny, a mianowicie: 1) P ó ł k a c z k i (Tadornidae), k a c z k i w ł a ś c i w e (Anatinae) i k a c z k i n u r k o w a t e (Nyrocinae).

Do pierwszej grupy, określonej jeszcze przez Tyzenhausa nazwą p ó ł k a c z e k, zaliczamy formy zbliżone do dzikich gęsi i to zarówno wielkością, sylwetką podczas pływania, jak też i pewnymi, wspólnymi dla obydwu obyczajami. Bez porównania częściej niż pozostałe kaczki wychodzą na ląd, gdzie zarówno szukają pokarmu, jak też i odpoczywają. Natomiast do żerowania szukają wód bardzo płytkich, ponieważ niechętnie nurkują, a szukając pokarmu, zanurzają tylko głowę i szyję. U nas spotkać można jedynie dwa gatunki tej podrodziny, przy czym obydwa są rzadkie.

Jeden z nich to o c h a r (Tadorna tadorna L.). Spory ten ptak o czarnej głowie i szyi i przeważnie białego upierzenia na pozostałej części ciała, odznacza się przede wszystkim rdzawo-kasztanowatą obrożą na tle białej piersi. Lusterko na skrzydłach jest zielone, zaś dziób od góry wklęsły i opatrzony u samca wyraźną naroślą, na podobieństwo niektórych gęsi. Ochar jest bardzo ostrożnym i płochliwym ptakiem, i nie łatwo pozwala zbliżyć się człowiekowi. Mięso posiada niezbyt smaczne. Gnieździ się na wybrzeżach morskich, rzadziej wielkich jezior śródlądowych w Europie i Azji, wędrując w zimie nieco na południe. Niezwykle oryginalny jest sposób gnieżdżenia się tego ptaka, bowiem gniazdo buduje najchętniej w norach ziemnych, opuszczonych przez inne zwierzęta, np. króliki, lisy, a w razie ich braku sam je wygrzebuje. W Polsce gnieździ się ochar prawdopodobnie na Helu, gdzie dawniej występował liczniej, poza tym bywa na Wybrzeżu w czasie przelotów; w głąb kraju zalatuje bardzo rzadko.

Drugim przedstawicielem grupy półkaczek jest K a z a r k a (Casarca ferruginea Pall) o ubarwieniu prawie całkowicie rdzawo-żółtym. Jedynie ogon i lotki są czarne, tejże barwy przepaska na szyi samca, zaś lusterko zielone. Ojczyzną jej jest Europa wschodnia, a głównie Azja aż po Persję i Himalaje. W okresie zimowym odlatuje na południe, zjawiając się sporadycznie w różnych okolicach Europy. U nas należy do ptaków bardzo rzadkich: przed wojną spotykano ją najczęściej nad Dniestrem i Zbruczem.

Druga, znacznie obszerniejsza podrodzina kaczek, to k a c z k i w ł a ś c i w e (Anatinae.)

Charakterystyczną ich cechą jest przede wszystkim to, że w przeciwieństwie do kaczek nurkowatych potrafią poruszać się na lądzie dosyć zgrabnie i pewnie, natomiast nurkują niechętnie i tylko z konieczności, bowiem nawet w chwili niebezpieczeństwa używają na ogół wyłącznie skrzydeł. W wypadku nagłego ataku drapieżnika lub postrzelenia ratują się wprawdzie ucieczką podwodną do najbliższych zarośli, lecz po kilku sekundach zmuszone są wynurzyć się dla zaczerpnięcia powietrza.

Należy tutaj przede wszystkim k r z y ż ó w k a (Anas platyrhynchos L.), znana wszystkim doskonale. Reprezentuje ona gatunek typowo słodkowodny, unikając morza i jest najliczniejszym przedstawicielem kaczego rodu w Polsce. Na zimę odlatuje na południe, lecz na jej miejsce przylatuje w pewnej ilości krzyżówka z krajów północnych, zimując u nas na niezamarzniętych rowach, stawach i oparzeliskach. Od niej, przez długotrwałą hodowlę, pochodzi kaczka domowa.

Znacznie mniejsza i zwinniejsza jest c y r a n k a (Querquedula querquedula L) tak często mylona z cyraneczką. Jakkolwiek wielkością i upierzeniem w szacie letniej niewiele się różni od cyraneczki, istnieje niezawodna cecha, po której łatwo odróżnić te dwa gatunki. Cechą tą jest lusterko na skrzydłach. Otóż u cyranki jest ono zawsze bladozielone, bez połysku, zaś u cyraneczki w połowie pięknie połyskującozielone, a w połowie aksamitnoczarne. Warto sobie ten szczegół zapamiętać, by być zawsze pewnym upolowanego gatunku. Gniazdo buduje cyranka w pobliżu wody, najczęściej na ziemi, w szuwarach, trawach oraz krzakach, sam zaś obserwowałem cyrankę gnieżdżącą się w dziupli rosnącego na grobli olbrzymiego dębu, na wysokości 4 m od ziemi. Dziupla, w której zaledwie dłoń zmieścić się mogła, posiadała długości około 0,5 m, tak że cyranka z trudnością przez nią przepchnąć się mogła.

Zarówno cyranka, jak i c y r a n e c z k a (Nettion crecca L.) odlatują od nas w kierunku południowym, chociaż pierwsza wcześniej i dalej. W zimowowiosennej szacie posiada samiec cyraneczki wspaniałe ubarwienie godowe, z zieloną plamą za okiem, na tle rdzawo-brązowej głowy oraz szyi. W Polsce gnieździ się cyranka i cyraneczka w całym kraju, jednak mniej licznie od krzyżówki. Lot ich jest bardzo szybki, przy czym cyraneczka potrafi po mistrzowsku wykonywać w powietrzu nagłe, nieoczekiwane zwroty, balansując równocześnie ciałem na boki, co w dużej mierze utrudnia celność strzału.

Zupełnie odmienną sylwetką w locie odznacza się r o ż e n i e c (Dafila acuta L.), który zbliża się wielkością prawie do krzyżówki. Gatunek ten, o wydłużonej, cienkiej szyi, posiada w okresie godowym dłuższe pióra w ogonie, przypominając w powietrzu nieco tracza. Rożeniec nie występuje jednakowo na terenie całego kraju, gdyż miejsca lęgowe leżą raczej na wschód



Na deptaka *fot. Z. Porębski*

od Wisły. Ponieważ lubi wody duże i nie całkowicie zarośnięte, przeto w wielu miejscowościach u nas występuje jedynie na przelotach. Jest niełatwy do podejścia, gdyż cechuje go wrodzona ostrożność i płochliwość. Zimą spotkać możemy gromadnie zimujące rożeńce nad Bałtykiem, w głębi kraju natomiast odlatują w tym czasie zupełnie.

Małym, krótkim, białosinej barwy dziobem odznacza się świstun (Mareca penelope L.), nazwany tak od charakterystycznych pogwizdywań, jakie wydaje. W upierzeniu godowym posiada świstun rdzawy łeb, rdzaworóżową szyję i piersi oraz biały brzuch. Lusterko zielone. Ojczyzną jego jest Europa i Azja północna. Na zimę przenosi się do Europy zachodniej i krajów śródziemnomorskich i wtedy oraz w drodze powrotnej wiosną, pojawia się najliczniej w Polsce. Poza tym stwierdzono nieliczne stanowiska gniazdowe wewnątrz kraju na większych skupiskach wodnych. Pływa niezbyt zgrabnie i jest stosunkowo mało bojaźliwy.

Dziwaczny, spłaszczony i rozszerzony w przodzie dziób posiada kaczka płaskonos (Spatula clypeata L.), również łyżkodziobem nazywana. Wiosną jest pięknie ubarwiona, posiadając niebieskie skrzydła. Zbędny staje się opis upierzenia, ponieważ kształt dzioba odróżnia ją od razu od wszystkich pozostałych kaczek. Gatunek ten jest szeroko rozprzestrzeniony, zamieszkuje bowiem Europę, Azję i Amerykę. U nas płaskonos występuje na terenie całego kraju, ale gnieździ się nielicznie, jedynie na przelotach spotkać można małe stadka. Ulubionym miejscem jej żerowania są bagniste i słabo zalesione stawy lub mokradła, gdzie też zakłada gniazdo. Mięso posiada niesmaczne.

Wielkością niewiele ustępuje krzyżówce kaczka krakwa (Chaeliodus streperus L.), upierzenie natomiast podobne do niej zachowuje tylko samica tego gatunku. Samiec krakwy posiada prążkowaną szyję i piersi, przypominając nieco ubarwienie domowych pantarek-perliczek. Na skrzydłach rzuca się w oczy ciemnoruda plama i białoczarne lusterko, po którym można latem odróżnić ten gatunek od krzyżówki. W Polsce gnieździ się krakwa liczniej od świstuna, ale nigdzie nie bywa pospolita, a nawet w okresie przelotów nie jest liczna. Z końcem września i w październiku odlatują nasze krakwy na zimowiska, położone nad Morzem Śródziemnym i wracają z powrotem w kwietniu.

Najwięcej gatunków obejmuje grupa kaczek nurkowatych (Nyrocinae). Są to doskonali pływacy, zupełnie przystosowani do życia w żywiole wodnym. Nogi osadzone daleko w tyle powodują, że na lądzie chód ich jest chwiejny i męczący, natomiast w wodzie są one bezkonkurencyjne, pomagając sobie nierzadko przy nurkowaniu skrzydłami.

Do wielkich rzadkości ornitologicznych należy u nas kaczka hełmiasta (Netta rufina Pall.), będąca przedstawicielką tej grupy. Samiec posiada bujny i puszysty czub rudokasztanowatej barwy, reszta ciała jest szara z tym, że czarne jest podbrzusze, część szyi i wierzchnie pióra w ogonie. Duże lusterko na skrzydłach jest barwy białej z różowym nalotem, zaś dziób czerwony. Gatunek ten zamieszkuje Europę południową i Azję środkową, odlatuje na zimę do Afryki i Azji południowej. Należy do ptaków bardzo płochliwych i ostrożnych.

Inny rodzaj obejmuje 2 pokrewne gatunki, a mianowicie: głowienkę i podgorzałkę.

Głowienka kasztanowata, również znana pod nazwą kaczki rdzawogłowej (Nyroca ferina L.), gnieździ się u nas niezbyt licznie, częściej na północy niż południu kraju. Pięknie ubarwiony kaczor tego gatunku posiada na wiosnę rdzawą głowę i szyję, czarną opaskę wokół piersi i tułowia, resztę ciała jasnopopielatą w drobne, poprzeczne prążki. Dziób białawosiny czernieje po zabiciu. Samica więcej szara, podobna jest do samca w szacie letniej. Głowienkę spotyka się u nas licznie na przelotach wiosennych i jesiennych; w pozostałej części roku trzyma się tylko miejsc lęgowych, które obiera na dużych kompleksach wodnych posiadających zarówno zarośla, jak i otwarte przestrzenie wolnej i niegłębokiej wody. Kształt korpusu jest wybitnie pękaty, z krótką i grubą szyją, a chociaż mniejsza od krzyżówki, jest dosyć ciężka, zaś mięso jej jest najbardziej cenione spośród wszystkich gatunków dzikich kaczek. Łatwa do ustrzelenia, gdyż mało płochliwa, pozwala zbliżyć się na niewielką odległość. Przebywa najczęściej w parach lub pojedynczo, stroniąc od życia towarzyskiego. Jedynie na przelotach jesiennych we wrześniu i październiku spotkać można głowienkę w dużych stadach, dochodzących do wielu setek sztuk.

Bardziej towarzyski żywot prowadzi podgorzałka białooka (Nyroca nyroca Güld.). Znana powszechnie myśliwym, ponieważ w dużym procencie stanowi zazwyczaj łup łowieckich rozkładów. W okresie godowym posiada samiec ciemnokasztanowatą, połyskującą szyję i pierś, odcinające się wyraźnie od tła białego podbrzusza: w lecie obie płcie są brudnordzawego koloru. W niskim locie i na wodzie widoczne jest z daleka białe lusterko na tle ciemnych skrzydeł. Mięso posiada prawie równie smaczne jak głowienka, natomiast wielkością znacznie jej ustępuje.

W krajowej rodzinie kaczek posiadamy 2 gatunki czernic:

1) Czernica czubata lub kaczka czernica (Fuligula fuligula L.), mało na ogół znana myśliwym, chociaż w okresie przelotów nie jest rzadka. Gnieździ się natomiast nielicznie tylko na Pomorzu. W środku kraju spotyka się czernicę czubatą przez dużą część roku na wielkich, otwartych stawach oraz jeziorach, w stadach po kilkanaście sztuk. Wiosną gatunek ten łatwo jest poznać nawet z bardzo daleka, gdyż samce posiadają upierzenie aksamitnoczarne, a jaskrawobiały brzuch, boki ciała i lusterko kontrastują w tym zestawieniu wybitnie i widoczne są na wielką odległość. Samiec posiada poza tym długi czub z czarnych piór na głowie, skąd jego nazwa. Płochliwa ta kaczka trudna jest do ustrzelenia, a przebywając głównie na odkrytych przestrzeniach wodnych, odlatuje zdaleka przed zbliżającą się łodzią. Mięso niezbyt smaczne.

Drugi gatunek czernicy, to czernica ogorzałka (Filugula marila L.). Różni się od poprzedniej jasną barwą pleców, barkówek i kupra oraz brakiem czuba na głowie. Ojczyzną jej są kraje Europy północnej i Syberia, u nas spotyka się ogorzałkę jedynie na przelotach w niezbyt dużych ilościach. Na Bałtyku regularnie zimuje. Równie płochliwa i ostrożna jak czernica czubata, ma lot bardziej od niej ociężały i niezgrabny. Mięso prawie nieużyteczne, gdyż silnie cuchnie tranem.

W okresie zimowym spotyka się u nas, nieraz licznie naewt w głębi kraju, gągoła krzykliwego (Bucephala clangula L.), chociaż nad brzegami Bałtyku występuje w znacznie większej ilości. Pięknie ubarwiony ten gatunek kaczki posiada wtedy ciemno-zieloną głowę z białą plamą na policzku, czarne plecy, kuper i pokrywy podogonowe oraz białą szyję, spod ciała i lusterko. W lecie głowa przybiera barwę rudą. Gnieździ się gągoł na tundrze Europy, Azji i Ameryki, schodząc aż po Niemcy, Bałkany, Kaukaz i Kanadę. W Polsce znane są tylko nieliczne stanowiska jego gnieżdżenia na północy i zachodzie kraju. Natomiast w zimie posuwa się aż po Morze Śródziemne, Zatokę Perską i Indie, i wtedy zjawia się liczniej u nas, przebywając na większych, niezamarzniętych rzekach. Lata bardzo szybko, lecz przed niebezpieczeństwem uchodzi głównie nurkiem, mogąc przebywać pod wodą do 1 minuty. Jest towarzyski, bardzo ostrożny i płochliwy. Gnieździ się z reguły w dziuplach drzew, nawet na znacznych wysokościach od ziemi. Mięso równie niesmaczne, jak gatunku poprzedniego, silnie śmierdzi tranem.

Kaczka lodówka (Clangula hiemalis L.) jest przez całą zimę najpospolitsza z wszystkich gatunków kaczek nad Polskim Morzem. Zamieszkuje wprawdzie tundrę i wybrzeża arktyczne starego i nowego świata, lecz na zimę posuwa się ku południowi. W głąb kontynentu zalatuje rzadko. Niezwykle towarzyska, przebywa w dużych stadach. Poznać ją łatwo po 2 długich, czarnych sterówkach w ogonie oraz przewadze białego opierzenia na tle ciemnej piersi, skrzydeł i części pleców. Całe życie spędza na morzu żywiąc się pokarmem z morza wydobywanym: mięso jej dlatego nabywa również traniastego zapachu. Nurkuje zna-

komicie pomagając sobie skrzydłami w pływaniu, pod wodą potrafi przebywać przeszło minutę, pod jej powierzchnią, zanurzając się na głębokość do 20 m. Pokarm zbiera na dnie o przeciętnej głębokości 2—6 m. Jest mało płochliwa; lecąc wydaje świst skrzydłami.

Do Europy zapędza się czasem kaczka kamieniuszka (Histrionicus histrionicus L.), którą obserwowano kilkakrotnie nad brzegami Bałtyku oraz ustrzelono 2 okazy w głębi naszego kraju. Ojczyzną jej jest Islandia, Grenlandia i Nowa Funlandia; u nas trafia się tylko przypadkowo. Natomiast na południowym wybrzeżu Bałtyku spotyka się często markaczkę czarną (Oidemia nigra L.), gatunek całkowicie czarno ubarwiony. Kaczka ta zamieszkuje Europę północną i Azję północno - zachodnią, a właściwym środowiskiem jej jest morze, chociaż gnieździ się również nad jeziorami i rzekami. U nas w głębi kraju trafia się wyjątkowo, zimując jedynie w większych ilościach na Bałtyku. Mięso, przepojone tranem, jest równie niesmaczne, jak gatunek następny, Kaczka brunatna (uhla) (Melanita fusca L.). Ciemnobrunatna, prawie czarno ubarwiona, posiada jedynie białe lusterko i białą plamę pod okiem; zamieszkuje również Europę i Azję północną jak poprzednia, do której jest także i w obyczajach podobna. W głębi Polski zjawia się rzadko w czasie przelotów. Dawniej gnieździła się na Polesiu, a gnieżdżenie się obecnie na Mazurach jest prawdopodobne.

Wybrzeża morskie Grenlandii, Islandii, Szkocji, Skandynawii i północnej Rosji zamieszkuje kaczka edredonowa, także miękopiórem nazywana (Eider mollissimus L.), znana z tego, że posiada specjalnie miękki i delikatny puch, używany na wykwintne poduszki i pierzyny. Wielkością przewyższa trochę krzyżówkę, natomiast ubarwieniem samiec różni się od samicy kolosalnie. Kaczor bowiem posiada czoło, dół pleców i brzuch czarne, głowę, szyję, plecy i barkówki białe oraz na potylicy seledynowo - zieloną plamę, samica zaś cała jest rdzawa, brunatno upstrzona. W locie wygląda ociężale, lecz lata dość szybko, nurkuje znakomicie, pomagając sobie przy tym ruchem na pół otwartych skrzydeł. Nie jest to gatunek wybitnie wędrujący, bowiem w grudniu posuwa się niedaleko na południe i wtedy spotkać można edredona na polskim wybrzeżu Bałtyku; w głąb kraju zalatuje niechętnie i bardzo rzadko, a w lutym wraca do swych lęgowisk.

Jeszcze rzadziej od kaczki edredonowej pokazuje się u nas bliski jego krewny turkan (Somateria spectabilis L.). Poznać go łatwo po zielonych policzkach i czerwonawej piersi. Gnieździ się w arktycznych okolicach podbiegunowych, oddalając się w zimie tylko nieznacznie od miejsc lęgowych. W tym czasie pojawia się na Bałtyku bardzo rzadko, a z głębi kraju znane są dotychczas 2 okazy. Stwierdzono krzyżowanie się turkana z gatunkiem poprzednim.

Niemniej rzadkim gościem z Syberii i Alaski nad polskim morzem jest kaczka srokata (Polystica stelleri Pall.) Posiada ona również zielone plamy na głowie oraz mały czubek tej samej barwy, lusterko fioletowo - czarne, opaskę na szyi i wierzch ciała czarny. Obyczaje jej nie są jeszcze zupełnie dokładnie poznane. W okolicach Gdańska ustrzelono w ciągu ubiegłych 100 lat około 15 okazów kaczki srokatej.

Ostatnim gatunkiem, spotykanym u nas z grupy kaczek nurkujących, jest sterniczka białogłowa (Oxyura leucocephala Scop). Ta, w odróżnieniu od poprzednich, zamieszkuje południe Europy, kraje bałkańskie, czarnomorskie, kaspijskie, aż po Azję środkową i stamtąd do nas przypadkowo zalatuje. Głowę posiada białą, z dużą czarną plamą na wierzchu i na gardzieli, i takąż opaskę na szyi. Wierzch ciała szaro-żółty, czarno znaczony, spód więcej rdzawy. Gdy pływa zanurza się głęboko, trzymając wysoko zadarty w górę ogon. Nurkuje doskonale i w podwodnej ucieczce szuka ratunku przed wszelkim niebezpieczeństwem, wznosząc się na skrzydłach niechętnie. Żeruje za dnia na otwartych wodach dużych jezior i stawów. Znamy tylko kilka wypadków ustrzelenia sterniczki na południu (Racibórz) i południowym wschodzie kraju.

Poza wyliczonymi gatunkami kaczek mogą u nas zjawić się lub zabłąkać i inne, które stają się przypadkowym łupem myśliwych. Aby jednak w takim wypadku wiadomość o tym stała się pewnikiem naukowym, konieczne jest zachowanie ustrzelonego ptaka przez jego wypchanie, a najlepiej skierowanie do instytucji naukowych, jakimi są uniwersytety i muzea. Myśliwi bowiem mogą stać się bardzo pożytecznymi dla pracowni naukowych przez dostarczanie upolowanych, ciekawszych okazów zoologicznych. Odnosi się to w omawianym wypadku do kaczek i innych ptaków wodnych oraz błotnych, ponieważ grupy te są stosunkowo najsłabiej zbadane i najmniej posiadamy w nich materiału porównawczego. Niestety dotychczas, na skutek zbyt małego uświadomienia myśliwych, bardzo cenne niejednokrotnie okazy zjawiają się częściej na stołach, aniżeli w rękach naukowców. Zapamiętać również należy, że ofiarowany instytucji naukowej okaz wtedy tylko może służyć celom naukowym, gdy posiadać będzie metrykę, tj. podane będzie miejsce i data ustrzelenia oraz nazwisko ofiarodawcy. Bez powyższych danych najcenniejszy nawet gatunek spełniać może tylko co najwyżej rolę wystawowo-dydaktyczną.

Na marginesie powyższego artykułu pragnę zwrócić się tą drogą do Kolegów myśliwych z gorącym apelem o nadsyłanie ustrzelonych przez siebie ciekawszych okazów ptactwa wodno - błotnego, a **szczególnie** kaczek, do działu przyrodniczego Muzeum Śląskiego w Bytomiu. Prowadzi się tutaj bowiem badania nad biologią, występowaniem i rozmieszczeniem w Polsce tych grup ptaków, które w przeważającej części należą do zwierzyny łownej. Bardzo pożądane są okazy z okresu przelotów, tj. wiosny i jesieni, a przesyłać można je pocztą, jako list polecony. Na żądanie wypłaci Muzeum za każdy okaz odpowiednie wynagrodzenie.

Marian Bielewicz — Bytom

K. TARNOWSKI

Kontynentalny wyżeł szorstkowłosy czy wyżeł polski?

W numerze 1-2 na rok 1949 Łowca Polskiego, w artykule pod tytułem „W sprawie wyżła polskiego", autor poruszył, obok pochodzenia wyżła szorstkowłosego, ważną sprawę zainteresowania się myśliwych wytworzeniem, przy powojennej odbudowie hodowli psa myśliwskiego, odrębnej rasy polskiego wyżła szorstkowłosego. W tej ważnej kwestii powinni się wypowiedzieć myśliwi i hodowcy.

W artykule zamieszczonym w numerze 1 Łowca Polskiego, z 1948 r., wypowiedziałem się za ograniczeniem hodowli wszystkich ras psów myśliwskich, aby tym łatwiej poddać psy ostrej selekcji w celu wydrębnienia materiału zarodowego. Wśród wyżłów ras kontynentalnych wysunąłem przede wszystkim wyżła kontynentalnego, krótkowłosego i szorstkowłosego, jako bezprzecznie najbardziej wartościowego użytkowo, jakoteż najbardziej przydatnego dla celów hodowlanych.

Jakkolwiek w odpowiedzi na mój artykuł kol. A. Rowiński nie podzielił mego stanowiska, jestem i będę tego zdania, że powinniśmy w trudnych obecnych warunkach ograniczyć się do hodowli niewielkiej ilości ras psów myśliwskich, a z wyżłów kontynentalnych hodować tylko wyżły krótko i szorstkowłose w czystości rasy.

Tworzenie innych ras wyżłów jest rzeczą długotrwałą i kosztowną, a przy tylu obecnych rasach wyżłów zupełnie zbyteczną. Mając już prawie ustaloną obecnie rasę wyżła kontynentalnego szorstkowłosego, tworzenie z niego odrębnej rasy przez dolanie krwi airedaleteriera, względnie brodacza monachijskiego (jak



Wyżeł kontynentalny szorstkowłosy
fot. A. Gaponow

proponuje autor), wprowadziłoby takie zamieszanie wśród hodowców wyżła szorstkowłosego, że musielibyśmy znów poświęcić wiele wysiłków dla uporządkowania naszej hodowli wyżła. Wzorzec wyżła szorstkowłosego przedstawia nam psa, który — moim zdaniem — jest wprost ideałem wyżła dla celów wielostronnych.

W budowie wyżła szorstkowłosego podkreśla się tak ważne walory jak: odpowiednie ustawienie przednich i tylnych odnóży, głębokość piersi, krótki grzbiet przy długim krzyżu, silną i zwięzłą budowę, które to zalety budowy zapewniają psom tej rasy szybkie i wytrwałe chody. Uwłosienie wyżła szorstkowłosego, które przewiduje twardy, przylegający włos, około 4 cm długości, z ciepłym podbiciem na zimę i silną ochroną, w postaci dłuższych włosów, oczu, kufy, pachwin i palców, daje możność wyżłowi szorstkowłosemu pracować w najtrudniejszych warunkach terenowych i atmosferycznych, jak również podczas walk z drapieżnikami itd. Jeśli poza tym przytoczymy zalety wrodzone, jak: dobry wiatr i stójkę, zamiłowanie do pracy w wodzie, w zaroślach, podatność do odnajdywania postrzałków zwierzyny, wrodzoną nienawiść do drapieżników, a nawet pewną agresywność w stosunku do ludzi, to dlaczego mamy szukać i tworzyć inne rasy wyżłów użytkowych, mając je już wytworzone i utrwalone przez szereg pokoleń.

Autor pragnie widzieć w wyżle polskim psa „par excellence" użytkowego w służbie leśników, straży leśnej, któryby był przede wszystkim dobrym aporterem na lądzie i w wodzie, dobrym posokowcem i szperaczem, dobrym obrońcą, a dopiero na drugim miejscu psem polowym.

Są to przestarzałe i nieaktualne już zapatrywania na istotę pracy wyżła, stosowane w czasach, gdy stare, limfatyczne rasy wyżłów niemieckich odznaczały się tymi zaletami, które autor pragnie widzieć u wyżła polskiego. Należy wiedzieć, że tak jak koń zaczyna się od nóg, tak wyżeł zaczyna się od nosa, i że takie zalety, jak: wiatr, chody i stójka, są głównym kryterium, jeśli chodzi o sklasyfikowanie wyżłów, które głównie według tych zalet powinny być selekcjonowane. Jeśli hodowcy, chcąc poprawić stary, ciężki typ wyżła niemieckiego, krzyżowali go z wyżłem angielskim, to głównie dlatego, ażeby poprawić jego wiatr, chody i stójkę.

Nawiasem mówiąc, te wszystkie wymagane przez autora od przyszłego wyżła polskiego zalety, wyżeł szorstkowłosy posiada w stopniu wystarczającym, i dlatego jest właśnie par excellence psem użytkowym. Dolewanie krwi innych ras psów niemyśliwskich dla wątpliwych wyników poprawienia chyba włosa i ciętości, z równoczesnym osłabieniem wiatru, chodów i wrodzonej stójki, a zarazem zatraty typu, byłoby grzechem hodowlanym i ciosem dla myśliwych.

Przypominam sobie, że przed ostatnią wojną myśliwi poszukiwali już wyżłów polskich, a nawet określali ogólnie jego budowę. Miały to być krótkowłose wyżły, średniego wzrostu około 55 cm wysokości, krępej, silnej budowy, o znakomitym wietrze i chodach, przy tym zamiłowane w innych działach łowieckich, maści białej w brązowe łaty. Poza tym jedna z hodowli poznańskich również usiłowała stworzyć rasę wyżła polskiego, krzyżując wyżła kontynentalnego z pointerem.

Obecnie projektuje się na odmianę stworzyć szorstkowłosego wyżła polskiego. Wszystko to dla laika na pierwszy rzut oka wydawałoby się piękne i pożądane, lecz moim zdaniem zupełnie zbyteczne, a nawet szkodzące sprawie hodowli wyżła.

Nauczmy się najpierw hodować rasy wyżłów, które posiadamy w czystości krwi, nie mieszajmy i nie krzyżujmy ustawicznie jednych ras z drugimi, tworząc bezużyteczne krzyżówki, a przede wszystkim zajmijmy



Wyżeł kontynentalny gładkowłosy „Vera"
fot. K. Tarnowski

się wreszcie samą hodowlą psów myśliwskich. Wyżeł kontynentalny szorstkowłosy, jeśli będzie hodowany w granicach przyjętego standartu, jest i będzie znakomitym wyżłem użytkowym, tak dla leśnika, jak również dla każdego praktycznego myśliwego.

K. Tarnowski



ZBIGNIEW KOWALSKI

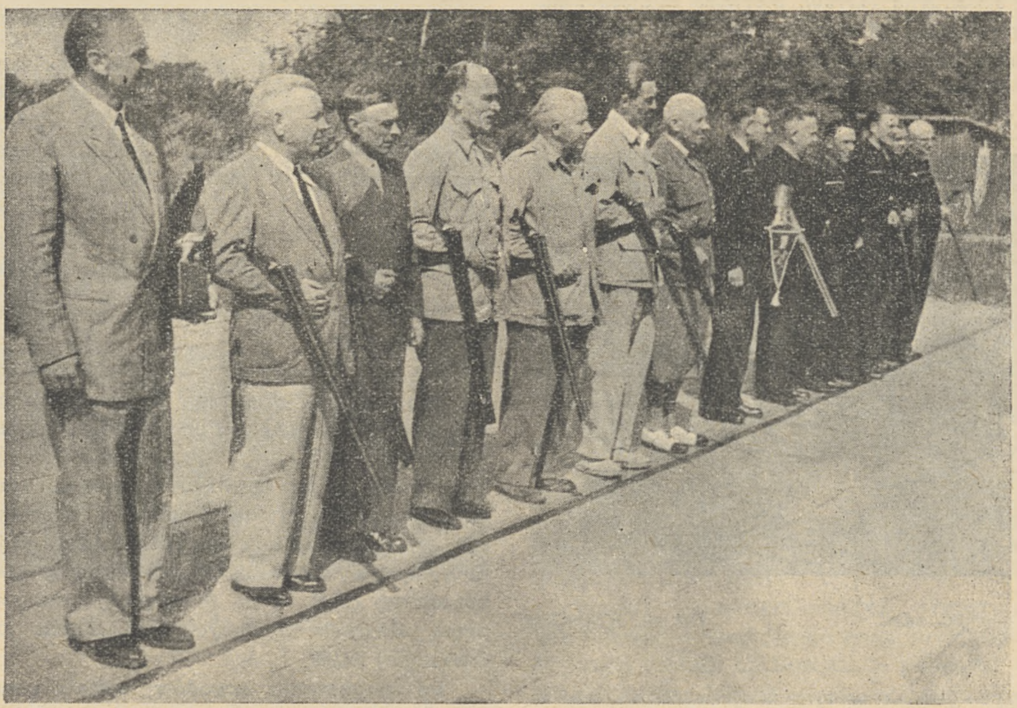
Drugie zawody w strzelaniu do rzutków w Legnicy

Tak jak i w roku zeszłym, z inicjatywy Związku Myśliwych Radzieckich przy Armii Czerwonej SGW, odbyło się w dniu 11 i 12 czerwca br. spotkanie towarzyskie w strzelaniu do rzutków pomiędzy reprezentacją Związku Myśliwych Radzieckich Armii SGW a ekipą reprezentacyjną Polskiego Związku Łowieckiego. Zawody odbyły się w Legnicy, gdzie znajduje się jedyny w Polsce, zaopatrzony w najnowocześniejsze urządzenia, stand strzelecki.

jew, płk. Mikołaj Klementiew, kpt. Iwan Kawiesnikow.

Jako sędziów głównych zaproszono gen. Rossijskiego i prof. Rajnolda Kurowskiego, wielkiego znawcę sportu strzeleckiego który jeszcze przed pierwszą wojną światową występował jako czołowy zawodnik na standach europejskich.

Bocznymi sędziami i przy maszynach byli: płk. Siergiejenko, maj. Maksimow oraz koledzy: dr.



Drużyna polska i radziecka przed rozpoczęciem zawodów — fot. Z. Kowalski

Zawody te odbyły się przy wydatnej pomocy i subwencji Głównego Urzędu Kultury Fizycznej i Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego.

W skład ekipy polskiej wchodzili:

Kapitan i trener drużyny polskiej Zbigniew Korolkiewicz, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego; wielokrotny mistrz świata i zdobywca pierwszego miejsca na olimpiadzie w 1939 r. Józef Kiszkurno; trzykrotny mistrz świata Kazimierz Zaleski; Wilhelm Ziegenhierte, zeszłoroczny zwycięzca w strzelaniu z Armią Radziecką SGW w Legnicy i w zawodach z reprezentacją Czechosłowacji oraz wieloletni reprezentanci barw polskich w zawodach międzynarodowych: Roman Feil, Witold Jeziorowski Konstanty Łyskowski. Zapasowymi naszej drużyny byli: kol. Tadeusz Obutelewicz i Zygmunt Kiszkurno, syn Józefa, znakomicie zapowiadający się zawodnik, który na treningach osiąga już powyżej 90/100 możliwych punktów.

W skład drużyny radzieckiej wchodzili:

Kapitan drużyny radzieckiej ppłk. Mikołaj Kuzmienko; mistrz strzelecki Związku Radzieckiego mjr Wsiewołod Kaszpar oraz szereg świetnych zawodników, jak: kpt. Mikołaj Anochin, płk. Andrzej Arda-

Ludwik Zaturski wiceprezes Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego, inż. Stanisław Ihnatowicz i płk. dr Wacław Zajączkowski.

Po dwudniowych treningach na pięknie położonej na wysokim wzgórzu strzelnicy, rozpoczęły się zawody w dniu 11 (sobota) odegraniem hymnów narodowych: radzieckiego i polskiego. Wysoko na maszt wzniosły się czerwone i biało-czerwone flagi. Pierwszy dzień przewidywał strzelanie z tak zwanego podejścia, drugi — strzelanie z miejsca, olimpijskie.

Strzelanie z podejścia polega na następującym założeniu: zawodnik na komendę rusza szybkim krokiem po betonowym standzie w kierunku maszyn, w niewiadomej chwili (w odległości 11 — 14 m od maszyn) wylatuje rzutek, który należy rozbić celnym strzałem. Strzelanie to, na wskroś myśliwskie, uprawiane jest w Związku Radzieckim od wielu lat z powodzeniem, stanowiąc prawdziwe przygotowanie myśliwskie dla strzelających.

Drużyna radziecka przygotowana jest do zawodów doskonale. Strzelcy mają błyskawiczną szybkość strzału, precyzję trafienia pierwszorzędną. Szczególnie ładnie strzela, spokojnie, bez wysiłku mjr. W. Kaszpar. Przy tym jest zawsze pogodnie uśmiechnięty i pełen

sportowego zacięcia do walki. Doskonale też strzela ppłk. M. Kuzmienko, który od zeszłego roku zrobił wielkie postępy we władaniu strzelbą. Zawodnik ten ma szczególnie dobry, szybki i wyraźnie kontrolowany drugi strzał. Imponują również: niesłychany spokój i fantastycznie daleko wytrzymywane i dobrze mierzone strzały płk. A. Ardajewa. Bardzo dobrze zapowiada się też młody zawodnik kpt. M. Anochin.

Pomimo krótkiego i raczej dorywczego treningu przez naszych zawodników strzelania z podejścia, drużyna Polskiego Związku Łowieckiego przegrała to ciekawe spotkanie zespołowo z niewielką różnicą 8 punktów, przy czym w ciekawej i emocjonującej rozgrywce pomiędzy trzema czołowymi zawodnikami majorem W. Kaszparem (41/50), ppłk. M. Kuzmienką (41/50) i J. Kiszkurną (41/50), pierwsze miejsce i nagrodę indywidualną, ofiarowaną przez Marszałka K. K. Rokossowskiego (dubeltówka), uzyskał Józef Kiszkurno.



Sędziowie — i pogoda... *fot. Z. Kowalski*

Zaznaczyć jednak w tym miejscu należy, że w trzeciej serii strzelania z podejścia zepsuł się majorowi Kaszparowi „bock" Merkla i świetny ten zawodnik przeszedł na trójlufkę Sauera 12 × 12 × 8. Trzeba też podkreślić, że mjr. W. Kaszpar nie strzelał z tej trójlufki wiele gorzej, niż ze swej zwykłej gołębiarki standowej.

Ostateczny wynik strzelania z podejścia przedstawiał się następująco:

drużyna radziecka		drużyna polska	
mjr. W. Kaszpar	41	J. Kiszkurno	41
ppłk. M. Kuzmienko	41	K. Zaleski	40
kpt. M. Anochin	35	K. Łyskowski	36
płk. M. Klementjew	39	W. Jeziorowski	33
płk. A. Ardajew	30	R. Feil	31
kpt. I. Kawiesnikow	38	W. Ziegenhierte	35
łączna punktacja	224	łączna punktacja	216

Różnica zatym wyniosła 8 punktów na korzyść drużyny radzieckiej.

W niedzielę pogoda była zupełnie beznadziejna. Silny wiatr szalał po standzie i ulewny deszcz zacinał falami. Zrobiło się przenikliwie zimno. Zawodnicy przemoczeni byli do koszul, sędziowie mieli wodę nawet w butach. Pomimo trwającej bez przerwy słoty, odbyło się, jak to przewidywał program, drugie spotkanie w strzelaniu do rzutków z miejsca, tak zwane olimpijskie. W spotkaniu tym triumfowała drużyna polska.

Pierwsze miejsce zajął znów bezapelacyjnie kol. Józef Kiszkurno, uzyskując 93/100 oraz zdobywając nagrodę Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego — piękny skórzany futerał; drugie miejsce zajął mjr W. Kaszpar 91/100, trzecie podzielili kpt. M. Anochin i R. Feil 90/100, czwarte uzyskał K. Łyskowski 89/100.

Wielką i pełną sympatii wesołość wywołał moment, kiedy Józef Kiszkurno, zaraz po wręczeniu nagród, zapakował zdobytą dubeltówkę do zdobytego futerału i odprowadzany oklaskami zaniósł cały komplet myśliwski do samochodu.

Drużynowo wygrała zawody drużyna polska według następującej punktacji:

drużyna polska		drużyna radziecka	
J. Kiszkurno	93	mjr W. Kaszpar	91
R. Feil	90	kpt. M. Anochin	90
K. Łyskowski	89	płk. A. Ardajew	85
W. Ziegenhierte	86	płk. M. Klementjew	83
W. Jeziorowski	84	ppłk. M. Kuzmienko	82
K. Zaleski	84	kpt. I. Kawiesnikow	71
łączna punktacja	526	łączna punktacja	502

Różnica zatem wyniosła na korzyść drużyny polskiej 24 punkty.

Zdobywca II miejsca w obu konkurencjach, mjr. W. Kaszpar, zdobył specjalną nagrodę Ministra Leśnictwa Ob. Bolesława Podedwornego dla najlepszego zawodnika radzieckiego — artystycznie wykonaną kasetkę. Ponadto ten sam świetny zawodnik uzyskał jako drugą nagrodę indywidualną w strzelaniu z miejsca — przybór marmurowy na biurko, a jako drugą nagrodę indywidualną w strzelaniu z podchodu — brązowego orła. Obie te nagrody ufundowane były przez Związek Myśliwych Radzieckich przy Armii Czerwonej SGW.

Po zakończeniu zawodów zostały ponadto przez głównego sędziego ze strony rosyjskiej wręczone następujące nagrody zespołowe: drużynie radzieckiej — pierwszą nagrodę w strzelaniu z podejścia — puchar ufundowany przez Polski Związek Łowiecki, drużynie Polskiego Związku Łowieckiego — pierwszą nagrodę w strzelaniu z miejsca, ofiarowaną przez Spółdzielnię „Jedność Łowiecka" w postaci brązowego lwa.

Osiągnięcie wysokich wyników w ulewny deszcz i wichurę, trwające w czasie całych zawodów drugiego dnia, dowiodły, że przygotowanie strzeleckie, które daje strzelanie do rzutków, jest prawdziwą i wysokiej klasy szkołą myśliwską, sportową i wojskową.

×

Wszystkie rozgrywki sportowe, a szczególnie w poważnych spotkaniach międzynarodowych, wymagają od zawodników najwyższej sprawności, ale jednocześnie, a może nawet bardziej jeszcze wielkiego opanowania nerwów. Kol. Józef Kiszkurno jest jednym z tych zawodników, których nerwy nigdy w rozgrywkach nie zawodzą.

W krótkiej rozmowie po zwycięstwie, rzuca kol. Józef Kiszkurno dla czytelników Łowca Polskiego garść wrażeń i wspomnień z zawodów, w których brał udział w ciągu swojego pracowitego, łowieckiego żywota.

Rok 1936. Olimpiada, czołówka, która trzeciego dnia po odstrzeleniu 300 rzutków dochodzi do rozgrywek o mistrzostwo świata. Najwyższą ilość punktów w ostatniej serii 273/300 osiąga jako przedostatni kol. Józef Kiszkurno.



Mistrz polski J. Kiszkurno

Do zdobycia mistrzostwa świata jest jednak jeszcze daleko, gdyż znakomity zawodnik węgierski Halassy ma o tyle lepszy wynik od Kiszkurny, że tylko w tym wypadku może nasz zawodnik zdobyć mistrzostwo, o ile Halassy zrobi 8 pudeł w ostatniej serii 25 strzelanych rzutków. Szanse Kiszkurny zdają się więc być żadne. Trzeba się będzie zadowolić wicemistrzostwem. Halassy bowiem strzela normalnie 95 lub 97 na 100.

Na trybunie wielkie napięcie. Hallasy zaczyna strzelać. I w pierwszej dziesiątce ma... 6 rzędowych pudeł, w całej serii 8 pudeł.

Kiszkurno zdobywa mistrzostwo świata. Nerwy przeciwnika nie wytrzymały.

Rok 1934. Rembertów, strzelnica „Pocisku". Rozgrywana jest w konkurencji międzynarodowej nagroda t.zw. „Złoty Głuszec". Zdobywcą tej nagrody będzie ten z myśliwych, który strzeli **50 rzędowych rzutków.** Kiszkurno odpada przy 46 rzutku, Rozenwerth przy 44, Ziegenhierte przy 41.

Jedynie wicemistrz Niemiec, Hennig Detlof, strzela bez pudła. 47. 48. i 49 rzutek idą w pył. Po 49 rzutku Detlof przerywa strzelanie, ociera chusteczką pot z czoła, potem prosi sędziów o chwilkę przerwy. Wśród widzów zapada cisza jak makiem zasiał. Jakto? Niemiec ma wynieść jedną z najpiękniejszych polskich nagród?

Wreszcie Detlof, wypaliwszy papierosa, wraca uspokojony na stand, wzlatuje półkoliście wysoki balon. Detlof strzela. Pudło!

Wśród publiczności rozlega się sciszone odetchnięcie...

Kol. Józef Kiszkurno wygrał „Złotego Głuszca" w dwa lata później. Nagrodę tę, przedstawiającą piękną i charakterystyczną broszkę, nosi do dnia dzisiejszego małżonka naszego mistrza.

Rok 1935. Zawody w Wannsee. Do finału dochodzą: Niemiec dr Sack i J. Kiszkurno. Na 100 rzutków wyniki obu zawodników są jednakowe, po 95/100. Następuje rozgrywka do 20 rzutków na 17 metrów od maszyn. Zawodnicy strzelają po 20 rzędowych rzutków. Druga rozgrywka na 18 metrów — obaj mają po 20 rzędowych rzutków. Trzecia na 19 metrów—jeszcze raz osiągają zarówno Kiszkurno jak i dr Sack po 20 trafnych.

Napięcie widzów dochodzi do maksimum.

Ostatnia czwarta rozgrywka na 20 metrów od maszyn. Po raz czwarty zawodnicy będą strzelać do 20 rzutków. I wtedy dr Sack załamuje się — robi cztery pudła — 16 na 20. Kiszkurno 19 na 20.

Choć Kiszkurno wygrywa na obcym standzie, brawa długo nie mogą zmilknąć.

Szereg zawodów w krajach europejskich i szereg zawodów krajowych dowiodły, że kol. Józef Kiszkurno posiada nerwy i opanowanie zawodnika najwyższej jakości. Ostatnie zawody potwierdziły, że kol. Kiszkurno nadal stanowi klasę sam dla siebie.

×

Po zawodach koledzy myśliwi radzieccy zaprosili naszą drużynę na tradycyjną, skromną biesiadę, która przeciągnęła się długo.

Wysoce koleżeński nastrój, szereg serdecznych przemówień i wzajemne, szczere, przyjacielskie stosunki, jakie zostały zadzierzgnięte pomiędzy radzieckimi i polskimi myśliwymi w roku ubiegłym, a z głębi serca podtrzymane w bieżącym, dorzuciły jeszcze jedną cegiełkę do zbliżenia się z sobą i wzajemnego poznania się narodów radzieckiego i polskiego.

Zbigniew Kowalski



Mistrz sowiecki mjr Kaszpar fot. Z. Kowalski

Rysie w Tatrach

Wiadomości o występowaniu rysiów w Tatrach były dotychczas bardzo rozbieżne.

Znawca fauny tatrzańskiej i jeden z twórców ustawy o ochronie kozic i świstaków, dr. Maksymilian Nowicki, w swej pracy pt. „Nieprzyjaciele kozic tatrzańskich, niszczenie ich i różne sposoby łowów“, wydanej w roku 1869, twierdził, że ryś w Tatrach został wytępiony. Jednak, wbrew temu twierdzeniu, rysica, znajdująca się w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, została zabita w Dolinie Kościeliskiej 6.IV.1899 r., a więc w 30 lat później. Prof. Janusz Domaniewski obserwował tropy rysia w Dolinie Olczyskiej i na Hali Miętusiej w zimie 1927/28 roku. W roku 1942 miejscowy leśniczy zastrzelił rysia na Krokwi.

W latach 1945 — 1949 personel leśny Tatrzańskiego Parku Narodowego obserwował tropy rysia każdej zimy. Osobiście stwierdziłem tropy rysia w zimie 1947/48 r. i 1948/49 r. na Krokwi i Nosalu. Obecność rysiów na całym obszarze Tatr Polskich ustalono w tym okresie ponad wszelką wątpliwość.

W zimie 1948/49 obserwowano stale tropy dwóch rysiów chodzących razem i jednego, chodzącego samotnie. Stwierdzono, że ostatniej zimy rysie zabiły na terenie Parku co najmniej dwadzieścia sarn. Jedna z tych sarn padła 23 marca na Nosalu. Stwierdziłem osobiście przez obserwacje tropów, że sprawcą w tym wypadku mógł być jedynie ryś. Sarna była kotna i miała dwie sztuki zupełnie rozwiniętych koźląt.

Wobec bardzo niskiego stanu zwierzyny płowej, wynoszącego według obliczeń, przeprowadzonych w marcu 1949 roku, 48 jeleni, w tym 10 cieląt; 66 sarn, w tym 10 koźląt, musimy liczyć się, że trzy rysie stanowią bardzo poważne niebezpieczeństwo dla obecnego ilostanu jeleni i sarn, gdyż mogą go w ciągu krótkiego czasu zlikwidować, a przyrost naturalny nie jest w stanie pokryć ubytku.

Odstrzał rysiów jest jednak w obecnym stanie rzeczy niedopuszczalny i należy poczynić wszelkie kroki celem podniesienia stanu zwierzyny płowej do takiej wysokości, aby przyrost naturalny mógł zaspokoić w zupełności potrzeby rysiów.

Sądzę, że osiągnięcie stanu 75 jeleni, w tym 36 łań zdatnych do rozmnoży i 150 sarn, w tym 50 kóz zdatnych do rozmnoży, dałoby dostateczny przyrost dla utrzymania na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego 3 — 4 rysiów.

Powyższy stan zwierzyny może być w Tatrach utrzymany bez żadnej szkody dla drzewostanów. Podniesienie w krótkim czasie stanu jeleni i sarn można przeprowadzić najłatwiej przez sprowadzenie tej zwierzyny z innych okolic górskich, a to zależne jest jedynie od przeznaczenia na ten cel odpowiednich kredytów.

Nie należy zapominać, że ryś może wyrządzć znaczne szkody wśród kozic, które również, jako zwierzęta rzadkie i występujące w Polsce jedynie w Tatrach, objęte są zupełną ochroną.

Szkody, czynione przez rysie wśród kozic, zostały stwierdzone ponad wszelką wątpliwość przez specjalistę w tej dziedzinie, dra M. A. Couturier, w obszernym dziele „Le Chamois“, wydanym w Grenoble 1938 roku.

W związku z koniecznością ochrony kozicy nasuwa się myśl założenia dla kozic ogrodzonego zwierzyńca w celu pozyskiwania młodych koźląt i zasilania nimi terenu. Zwierzyńce takie istnieją w Szwajcarii i dają dobre wyniki.

Próby nad podniesieniem stanu kozic w Tatrach drogą hodowli w zwierzyńcach, powinny się rozpocząć jak najprędzej.

Inż. M. Marchlewski

WITOLD NIESIOŁOWSKI

Muzykalne lisy

Na błoniu, graniczącym z pięknym, dębowym lasem, ćwiczyli w dnie pogodne trębacze oddziału wojskowego z pobliskich koszar. Przeraźliwe dźwięki, wydobywane nieumiejętnie z trąbek przez niewprawnych jeszcze w tej sztuce żołnierzy, napełniały całą bliższą okolicę jazgotem, rozpływały się szerokim echem po lesie, niepokojąc nienawykłych do takich koncertów czworonożnych mieszkańców leśnych.

Idąc pewnego razu polną dróżyną, ciągnącą się wzdłuż owego błonia, zauważyłem z daleka kilka jakichś stworzeń, siedzących na brzegu lasu w odległości może 200 metrów od grupy trębaczy... Młode psy czy lisy?... nie mogłem rozpoznać. Lisy nie byłyby przecież tak bezczelne, żeby w jasny dzień urządzać jakiś wiec czy zebranie towarzyskie wobec większej, a do tego hałasującej gromady ludzi. Na psie wesele to nie wyglądało; szarmanccy drużbowie bawiliby przecież oblubienicę wedle przyjętych dobrych psich obyczajów. A te stworzenia siedzą obok siebie obojętnie, spokojnie, jakby się zastanawiały nad jakimś ważnym problemem. Nie mogąc rozwiązać tej zagadki, zwróciłem się w ich stronę, ale zaledwie uszedłem kilkanaście kroków, zniknęło całe to towarzystwo w gąszczach lasu.

Przechodząc koło trębaczy, poprosiłem ich o wytłumaczenie mi tego zjawiska... „To lisy — odpowiedział jeden z żołnierzy — cztery młode liski. One tu codziennie przychodzą, kiedy my ćwiczymy. Jutro tu pewnie znowu będą. Skoro my zaczniemy trąbić, one zaraz wyłażą z lasu, siadają i wyją. Przyjdźcie jutro o tej porze, to ich zobaczycie“.

Następnego dnia przyszedłem na miejsce ćwiczeń w chwili, gdy trębacze właśnie nadchodzili. Lisków jeszcze nie było, ale w parę minut później, gdy się rozległy dźwięki trąbek, zjawiły się znowu, usiadłszy na wczorajszym miejscu zaczęły wyć w niebogłosy cieniutkimi głosikami. Śpiew ich był mi wcale sympatyczny a widok tej czwórki przemiły. Takiego kwartetu nigdy jeszcze nie słyszałem i takiego zespołu śpiewaków nie widziałem. Cztery śliczne, może trzymiesięczne lisiurki, podnosiły co chwilę swe zgrabne mordeczki w górę, zawodząc na różne tony.

Zaczynały zwykle niskim, głębokim altem, przechodząc w coraz wyższy sopran; głosy ich dźwięczały przeciągle, raz żałośnie, jakby coś opłakiwały czy na coś się skarżyły, to znowu przechodziły w skoczną, wesołą „melodię“, w szybkie, jakby radosne tempo. Na odmianę zaszczekał jeden czy drugi, podrapał się nogą za uchem, albo też kłapnął zębami, chcąc widocznie złapać natrętną muchę czy bąka; słowem, obrazek godny filmu dźwiękowego.

Nie mogłem jednakże odgadnąć przyczyny tego lisiego koncertu, nie wiem więc czy im piekielny jazgot trąbek sprawiał przyjemność, czy może przeciwnie, chciały one wyrazić swym śpiewem oburzenie i chęć pozbycia się nieproszonych, a wrzaskliwych gości. Nie wiem.

Koncerty te powtarzały się codziennie, ale żołnierze, nie znający się na piękności lisich głosów i dla słuchu ludzkiego nie bardzo melodyjnych pieśniach, postanowili śpiewaków połapać. Nie było to jednak łatwe. Kilka kroków zrobionych w ich stronę, jakiś podejrzany ruch, a ostrożne liski znikały z widowni, zaszywając się w gęstwinę lasu.

Licząc na nieostrożność niedoświadczonych szczeniaków obmyślili wojacy plan polowania, który się

w zupełności udał. Wyszukali jamę, w której się liski wychowały, po czym kilku z nich ukryło się w pobliżu lisiego gniazda, a gdy liski, wywabione muzyką trębaczy, wyszły z lasu, pozatykali otwory, wiodące do jamy. Na dany przez nich sygnał, zaczęli trębacze liski gonić, te zaś uciekały prosto do swej nory, gdzie wszystkie wpadły w ręce, względnie w worki uszczęśliwionych udałym fortelem żołnierzy.

Dowiedziałem się później, że je chowali w dużej, drewnianej klatce, a w kilka dni później liski przegryzły drewnianą kratę i wyniosły się z powrotem do lasu. Ale na koncerty popołudniowe już więcej nie uczęszczały.

Witold Niesiołowski

Bytom.

Podatek od psów czy od kotów

Nasi miłośnicy przyrody zauważyli, że liczba ptaków pożytecznych tak maleje, że w niektórych miejscowościach już wcale się nie zjawiają.

Jednym z powodów ubytku ptaków pożytecznych jest nadmierna ilość kotów i niedostateczny albo niedbały dozór nad nimi.

Po zachodzie słońca można obserwować, jak dużo kotów przeskakuje płoty i parkany ogrodów, parków, cmentarzy i innych miejsc zadrzewionych. Jeżeli to się dzieje w porze godowej, to miejmy oczy tym więcej otwarte! Nowy przychówek bowiem kotów często wylęgnie się poza domem. Dopiero gdy młode kocięta podrosną, przyprowadza ich kotka do domu, gdzie domownicy już nie mają sumienia ich zniszczyć.

O ile kot jest trzymany w celach gospodarczych, to znaczy tam, gdzie ma tępić gryzonie, to jego bytność jest usprawiedliwiona. Ale ileż to mamy ludzi, którzy chowają kota, by na nim wyładować swoją potrzebę pieszczot? Ci ludzie nie wiedzą, że kot nie tylko nie jest przywiązany do swego pana, jak to znamy u psa, ale nawet nie jest tak bardzo przywiązany do domu swego pana. Wałęsa się chętnie poza domem. Jego utrzymanie jest dlatego też tańsze niż psa. Te koty właśnie są przyczyną ubytku ptaków śpiewających i zwierzyny łownej. Wymówki, że kot szuka w polu myszy, świadczą, jak mało ludzie znają kota.

Kot, który zakosztował polowania na ptaki, już nigdy nie będzie łapał myszy. Takiego kota należy bezwzględnie tępić. Znamy kilka metod zwalczania szkodliwej działalności kota. Jedyną bronią jest rozsądna hodowla kotów. Ale na razie nie ma nadziei, żeby jak psa starano się hodować kota czystej rasy, tzn. kota domowego, podobnego do jego formy pierwotnej w Egipcie: z małą główką, sierścią niepozorną i z ciałem delikatnym, wysmukłym. Jeżeli takie zwierzę znajdzie w domu pana lub panią, którzy go będą odpowiednio pielęgnowali, to ono w domu zostanie.

Niezrozumiałe jest, dlaczego się kota nie przywiązuje, żeby w nocy nie polował. Dlaczego traktuje go się lepiej niż wiernego psa? Przywiązujemy bez wahania inne zwierzęta, jak konie, krowy, kozy, owce i nawet świnie, a dlaczego nie koty?

Inny sposób walki z kotem włóczęgą jest chwytanie go w pułapki. Ale broń Boże, nie używajmy pułapek, które zwierzę kaleczą albo powoli zamęczają na śmierć! Mamy pułapki-skrzynki, do których kot wchodzi na różne przynęty. Zamyka ona go tak, że go nie rani. Kot wtedy spokojnie czeka na to, co przyjdzie. Możemy takiego złodzieja na pewien czas odstraszyć, jeżeli go porządnie zmyjemy, tzn. dosłownie zlejemy wodą, a potem puścimy. Jeżeli jesteśmy zmuszeni uśmiercić to zwierzę, to nie czyńmy tego przez zabicie, ale przez zanurzenie go w worku w wodzie. Jest to uśmiercenie bardzo szybkie i najmniej bolesne.

Usunięcie więc kota jest najpewniejszym środkiem ochronienia ptaków śpiewających przed jego napadami, podobnie jak i drobnej zwierzyny łownej na polach.

Można również drzewa zaopatrzyć w pierścienie kolczaste, ze zwróconymi w dół kolcami albo jeszcze skuteczniej w parasole z gałęzi świerkowych.

Własnego kota unieszkodliwimy, jeżeli mu na tylnych nogach co 2 tygodnie poobcinamy pazury, bo tymi on właśnie drapie się po drzewach.

Mamy jeszcze środek, który nigdy nie zawodzi przy łapaniu kotów. Jest to Valeriana officinalis w każdej formie.

Najskuteczniejszym środkiej byłoby jednak wysckie opodatkowanie kotów, które nie mają znaczenia gospodarczego. Nie należy do ostatniego zaliczać wypadków, gdzie na skutek niechlujności ludzi, myszy się zbytnio mnożą. A więc zmniejszyć podatki od psów, zwłaszcza rasowych, a nareszcie stworzyć podatek od kotów.

R. Jojko, podłowczy powiatu Katowice

Z działalności powiatowej Rady Łowieckiej w Radomiu

Dnia 17 lutego 1949 roku odbyło się w Radomiu walne zgromadzenie powiatowe, na którym dorocznym zwyczajem, łowczy powiatowy omówił szczegółowo sprawozdanie z działalności Rady za 1948 rok. Sprawozdanie wykazuje, że działalnością Rady objęte są 24 gminy wiejskie, bez m. Radomia, wchodzącego w skład Grodzkiej Rady Łowieckiej w Radomiu.

Przy stanie 3 członków Rady i 20 podłowczych powiatowych oraz 289 członków w powiecie, zrzeszonych w 13 kołach myśliwskich, poza odprawami, urządzanymi okresowo dla zarządów kół myśliwskich i podłowczych powiatowych, odbyto w roku sprawozdawczym 1 walne zgromadzenie, 13 posiedzeń, wysłano 10 pism okólnych o charakterze instrukcyjno-informacyjnym oraz 320 sztuk różnej korespondencji.

26 sierpnia 1948 r., z racji 25-lecia isnienia Polskiego Związku Łowieckiego, odbyło się uroczyste posiedzenie powiatowej rady łowieckiej w obecności zaproszonych gości i przedstawicieli kół myśliwskich, na których członek Naczelnej Rady Łowieckiej, kol. inż. Edward Frankiewicz, wygłosił odczyt pt. „Historia powstania PZŁ i jego ideologia". Na posiedzeniu tym łowczy powiatowy dokonał uroczystego wręczenia upominków 10 zasłużonym kolegom myśliwym w postaci ładnie oprawionych książek Krawczyńskiego „Łowiectwo" oraz 1 strzelby.

Powiatowa łowiecka komisja egzaminacyjna w składzie 7 osób przeegzaminowała w roku sprawozdawczym 430 osób w czasie 52 posiedzeń. Egzamin zdało: nowowstępujących 41, członków nadzwyczajnych 218, czyli razem 259 osób, co stanowi 56% ogólnej liczby zdających. Niektóre osoby zdawały egzamin dwukrotnie, a 15 osób nawet trzykrotnie.

Sprawy, związane z uzyskaniem, względnie prze-

dłużeniem ważności pozwoleń na broń, załatwiano za pośrednictwem łowczego powiatowego, w wyniku czego wszystkie 262 wnioski kolegów myśliwych powiatu załatwiono pozytywnie przez władze bezpieczeństwa publicznego.

Rejestrację obwodów łowieckich prowadził nadal łowczy powiatowy. W chwili obecnej rejestr wykazuje 132 obwody o ogólnej powierzchni 98.000 ha.

Kontrolę polowań przeprowadził łowczy powiatowy w 3 kołach myśliwskich, przy czym za wykroczenia łowieckie zawieszono w uprawnieniach członkowskich 12 myśliwych; grzywny pieniężne w granicach od 1.000 zł do 6.000 zł wymierzono 4 myśliwym, a jedno koło myśliwskie zlikwidowano. Wojewódzki sąd łowiecki uznał winę 8 myśliwych, stosując kary od upomnienia, aż do wydalenia ze Związku na zawsze.

Do starosty skierowano 18 wniosków karnych za wnykarstwo i nie wiązanie psów, za co wymierzono kary administracyjne od 500 do 3.000 zł.

Wnykarstwo w powiecie, zwłaszcza w lasach państwowych, rozpowszechnione jest bardzo. W związku z tym stan zajęcy, w porównaniu z rokiem ubiegłym, zmniejszył się o 25%.

W czasie od 1 marca do 31 grudnia 1948 r. na terenie powiatu ubito: lisów 24, zajęcy 1.790, królików 44, kaczek 247, kuropatw 102, jastrzębi 44, innych drapieżników 269 sztuk.

Bilans z działalności finansowej wykazuje, że w roku 1948 powiatowa rada łowiecka uzyskała dochody w kwocie 348.920 zł, a ponadto na rzecz walki z kłusownictwem 45.040 zł. Koszty utrzymania wyniosły 206.449 zł, w czym mieszczą się sumy wydane: na nagrody 36.600 zł, na propagandę 8.300 zł, na odbudowę siedziby PZŁ 12.400 zł.

Po przyjęciu powyższego sprawozdania, walne zgromadzenie postanowiło:

1) potwierdzić uchwałę powiatowej rady łowieckiej z dnia 26 sierpnia 1948 r. w przedmiocie skasowania polowania „w kotły" i utrzymać zakaz tego rodzaju polowania na terenie powiatu;

2) włożyć obowiązek na koła myśliwskie, jako dzierżawców terenów, wzmożenia ochrony łowisk;

3) powołać podkomisję do walki z kłusownictwem i wnykarstwem;

4) wystąpić do Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Radomskiego o wydanie zarządzeń w kierunku zwiększenia opieki nad zwierzyną łowną przez administrację lasów i ukrócenia rozpowszechnionego tam wnykarstwa;

5) wydzierżawić w celach hodowlanych odpowiedni teren polno-leśny o obszarze przynajmniej 3.000 ha na rezerwat dla zwierzyny łownej, przeznaczając na ten cel w roku 1949 kwotę 75.000 zł;

6) uchwalić preliminarz budżetowy na 1949 rok, przewidujący po stronie wydatków i dochodów kwotę 574.270 zł, z tym, że niedobór w kwocie 195.000 zł pokryją wszyscy członkowie powiatu, każdy po 800 zł;

7) powołać członków Rady na następną kadencję w osobach kolegów: inż. J. Brzozowskiego, inż. K. Borajkiewicza, W. Mielczarskiego oraz komisję rewizyjną;

8) spowodować zaprzysiężenie wszystkich strażników łowieckich w powiecie;

9) zgłosić wniosek o odznaczenia łowieckie;

10) przeznaczyć kwotę 25.000 zł na koleżeńską pomoc kuracyjną.

Kazimierz Kwietniewski
łowczy PZŁ na powiat Radom.

Z działalności organizacji terenowych PZŁ w województwie Gdańskim

1. W dniu 12 czerwca odbyło się uroczyste otwarcie własnego lokalu Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Gdańsku przy ul. Elżbietańskiej nr 10/11. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele władz i urzędów miejscowych, rektor Turski, dyrektor L. P. Węgłowski, członkowie Rady Wojewódzkiej oraz łowczowie powiatowi. Prezes Rady, J. Kędzierski, wygłosił przemówienie na temat znaczenia łowiectwa, jako gałęzi gospodarczej w planie ogólnopaństwowym. — Lokal składa się z dużej sali, około 60 m² i pokoju biurowego. Sala będzie służyła za świetlicę dla członków P Z Ł.

2. Na wezwanie Rady Wojewódzkiej myśliwi kół łowieckich w województwie gdańskim ofiarowali w ramach czynu kongresowego ubite w ciągu maja kaczory na cele dobroczynne, zaś trzy rady powiatowe przeznaczyły na ten sam cel po jednym dziku, upolowanym w czerwcu.

3. Koło myśliwskie „Rogacz" w Elblągu dokonało wyboru nowego zarządu, w którego skład weszli koledzy: K. Hofman, Skibiński, Piwowar, Ufiek, Lubański, Redmer i Górski. Walne zebranie członków uchwaliło ufundowanie jednego rocznego stypendium dla ucznia szkół elbląskich, syna robotnika, zasługującego na wyróżnienie, oraz wyznaczyło nagrody za wykrycie kłusowników i wnykarzy.

Prezes J. Kędzierski

Sprawozdanie z działalności Rady Łowieckiej powiat Tarnów

za czas od dnia 1 I 1948 r. do dnia 30 IV 1949 r.

Powiat Tarnów obejmuje około 88.000 ha, w tym 70% terenów podgórskich. Stan zwierzyny łownej po okupacji niemieckiej przedstawiał się katastrofalnie. Przebiegający przez cały powiat pas przyfrontowy, gdzie budowano szereg umocnień, spowodował zupełne prawie wybicie zwierzyny. Na skutek szybkiej organizacji myśliwych i ożywionej działalności powiatowej rady łowieckiej, z łowczym kol. Romanem Serwińskim, zwierzyna została objęta należytą ochroną, tak, że w sezonie 1948/49 stan zajęcy równał się 75% stanu przedwojennego. Kuropatwy, które w 1946 r. osiągnęły około 40% stanu przedwojennego, w zimie 1946/47 r. i w lecie 1948 r. na skutek powodzi znów zaginęły, tak, że stan dzisiejszy w rejonach północnych powiatu dochodzi do 30%, a w terenach podgórskich od 10 do 20% stanu przedwojennego. Temu samemu losowi uległ bażant. Duży stan lisów w pierwszych latach po okupacji uległ obecnie zmniejszeniu do stanu normalnego na skutek odstrzału. Dziki są stałe w okolicach podgórskich i stan ich dochodzi do 45 sztuk. Stan sarn jest nadal niski, ze względu na brak większych kompleksów leśnych w powiecie i wycięcie wiklin nadrzecznych, stałej ich ostoi. Dzikich kaczek jest mało z powodu braku stawów.

Już 6 stycznia 1946 roku myśliwi powiatu Tarnów zorganizowali się w Polskim Związku Łowieckim. W roku 1948 zapisanych było 191 członków PZŁ, rekrutujących się przeważnie ze świata pracy. Rok 1948 upłynął pod hasłem organizowania kółek łowieckich w powiecie; zorganizowaso ich 10, liczących 15 — 20

członków. Najżywotniejszymi i najbardziej sprawnymi kółkami są: Tarnowskie Koło Łowieckie w Tarnowie, Kółko Łowieckie w Tuchowie i Kółko Łowieckie Jeleń we Wróblowcach. Na pewne trudności natrafia rejestracja kółek łowieckich w wojewódzkim urzędzie, o co kilkakrotnie interweniowała powiatowa rada łowiecka.

W każdej z 10 gmin w powiecie jest czynny podłowczy powiatowy. Wszyscy członkowie nadzwyczajni i nowowstępujący byli poddani egzaminowi łowieckiemu przed pięcioosobową komisją egzaminacyjną, która zbierała się w roku sprawozdawczym 16 razy i przeegzaminowała 130 kandydatów, z czego 42 musiało, nieraz trzykrotnie, powtarzać egzamin, względnie odpadło zupełnie. Wszyscy egzaminowani otrzymali specjalne, efektowne dyplomy egzaminacyjne, a pięciu, którzy złożyli egzamin najlepiej. otrzymało nagrody w postaci książek łowieckich.

Drugą akcją, zorganizowaną w roku 1948 przez powiatową radę łowiecką, była bezwzględna walka z kłusownictwem. Obrano dwie drogi zwalczania. Pierwszą uświadamiającą, przez wydanie nakładem rady powiatowej afisza propagandowego, który przy poparciu władz starostwa, inspektoratu szkolnego i komendy MO został rozprowadzony po wszystkich gminach, gromadach, urzędach, szkołach, posterunkach MO itd, w ilości 260 sztuk. Celem afisza propagandowego było uświadomienie społeczeństwa i młodzieży o gospodarczym znaczeniu łowiectwa, umiłowaniu przyrody oraz o tym, co to jest kłusownictwo i jakie za nie grożą kary ustawowe. Drugą drogą było ściganie kłusownictwa w terenie. Łowczy powiatowy, przy współpracy MO, wyjeżdżał na targi w powiecie i stwierdzał oferowane na sprzedaż skórki zwierzyny łownej, czy pochodzą od uprawnionych myśliwych, natomiast skóry ze śladami schwytania na wnyki były konfiskowane a właścicieli kierowano na drogę sądową. Spraw udowodnionego kłusownictwa w roku sprawozdawczym było 27. Łączne wyroki za kłusownictwo sięgają dwóch lat więzienia i 200.000 zł grzywien. Tym samym kłusownictwo w powiecie bardzo zmalało, a z bronią w ręku — nie istnieje. Powiatowa rada łowiecka prowadzi rejestr kłusownictwa.

Trzecią akcją zainicjowaną przez radę powiatową była walka ze szkodnikami. Celem pobudzenia członków PZŁ powzięto uchwałę, że każdv z członków w r. 1948 musiał strzelić 5 sztuk szkodników, tj. wrony siwej, sroki, jastrzębia gołębiarza i krogulca, kota i psa, i dostarczyć dowodów do powiatowej rady łowieckiej. Ponadto, jako czyn 1-Majowy. uchwalono na walnym zebraniu członków powiatu Tarnów, odstrzelenie dalszych 5 sztuk szkodników. W wyniku zainicjowanej akcji padło już kilkaset szkodników, czego rezultaty dadzą się zaobserwować w tegorocznym sezonie.

Walka ze szkodnikami łowieckimi trwa nadal; zostały ufundowane 3 nagrody za dostarczenie największej ilości szkodników. Za skuteczną walkę z kłusownictwem wyróżniono trzech funkcjonariuszy MO, którzy otrzymali od powiatowej rady łowieckiej nagrodę w wysokości 5.000 zł.

Celem ułatwienia członkom postępowania przy prolongacie kart na broń myśliwską, organizujemy każdorazowo ogólną prolongatę kart wszystkich członków, jak również dokonaliśmy przeglądu broni myśliwskiej jednorazowo w r. 1948 przez delegowanych urzędników wojewódzkiego urzędu bezpieczeństwa. Jako wynik dobrej współpracy powiatowej rady łowieckiej z władzami administracyjnymi i samorządowymi, było uzyskanie zniżki podatku komunalnego od polowań w r. 1948 o jedną trzecią i jednoczesne obniżenie uchwalonej już na rok 1949 stawki 7 zł do 5 zł z hektara. Poza tym w 1948 r. uzyskano zniżkę podatku od psów myśliwskich.

Wysiłki w kierunku odrestaurowania hodowli bażantów w pierwszym wypadku zawiodły. Wyhodowane z wielkim trudem i nakładem bażanty w ilości 45 sztuk padły w 1948 r. na cholerę drobiu. Nie zrażeni czynimy starania w obecnym roku o zakup 100 sztuk jajek bażancich, celem wznowienia poczynań w tym kierunku.

Na walnym zgromadzeniu PZŁ powiatu Tarnów w dniu 24 IV 1949 r. zapadła jednomyślna uchwała zapisania się wszystkich członków powiatu Tarnów do Spółdzielni Jedność Łowiecka i opodatkowania się na zakup 100 sztuk budek dla ptaków, w związku z tegorocznym Dniem Lasu.

Uznając potrzebę poparcia hodowli psów rasowych, utworzyliśmy w Tarnowie Oddział Związku Kynologicznego w Polsce, liczący w pierwszych swych początkach 25 członków. Jesteśmy w trakcie zakładania ośrodka hodowlano-treningowego w powiecie za aprobatą i pod firmą Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Krakowie. Uzyskaliśmy już na ten cel subwencję w wysokości 100.000 zł. Odpowiedni teren jest już przygotowany, zakupiliśmy, jako zaczątek przyszłej hodowli, jamniczkę szorstkowłosą z pełnymi rodowodami. Ośrodek ten będzie wzorowany na ośrodku hodowlano - treningowym „Hubertówka" Warszawskiej wojewódzkiej rady łowieckiej.

R. Serwiński, łowczy powiatowy

Sportowe zawody strzeleckie w Jeleniej Górze

Dnia 24 kwietnia 1949 r. odbyły się w Jeleniej Górze pierwsze zawody strzeleckie do rzutków i z broni małokalibrowej do tarczy.

Zawody zorganizował Powiatowy Inspektorat Kultury Fizycznej przy udziale kilku miejscowych myśliwych, KS Gwardia, Szkoły Podchorążych Piechoty i organizacji Służba Polsce. Otwarcia dokonał protektor, starosta powiatowy, mgr Zarzycki, podkreślając w przemówieniu piękno, wartość i tradycję strzelectwa sportowego.

Strzelanie do rzutków prowadził przewodniczący komisji sędziowskiej, inż. Andrzej Lewandowski. Na standzie stanęło 10 zawodników. Ze względu na małą ilość rzutków, strzelano serje po 10 sztuk na zawodnika. Parodniowe, skromne treningi pozwoliły zawodnikom zapoznać się z techniką i warunkami.

Pierwsze miejsce zajął najmłodszy z zawodników, Juljan Lewartowski, strzelając na czysto pełną serię (10x10) i zdobywając jako pierwszą nagrodę piękny. srebrny puchar, ufundowany przez starostę powiatowego.

Drugie miejsce zajął Grabowski, trzecie — Paszyński, czwarte — Szulc. Piąte miejsce zajął Sulewski. strzelając 6x10 możliwych. Młodzi zawodnicy stawali po raz pierwszy w życiu na standzie. Stare, poniemieckie rzutki, uszkodzone, rozsypywały się w powietrzu, pesząc zawodników. Bardzo przeciętna broń seryjna dopełniała reszty.

Niemniej jednak zawodnicy osiągnęli dość dobre wyniki. W konkurencjach z broni małokalibrowej stanęło około 60 zawodników, w tym 6 zawodniczek. Szereg cennych nagród ufundowali: starosta powiatowy, prezydent miasta, zrzeszenia sportowe, przemysł, KS „Gwardia", koleje elektryczne i wielu prywatnych fundatorów. W każdej konkurencji przyznano po 5 nagród zasadniczych oraz szereg nagród pocieszenia. Zawody odbyły się na stadionie miejskim KS Gwardia.

Szczególne zainteresowanie budziło wśród miejscowego społeczeństwa strzelanie do rzutków. W niedzielę, już od wczesnych godzin porannych. powiewające na wysokich masztach barwy narodowe ściągały ciekawych, oblegających kasę.

Pogoda dopisywała, słońce dopiekało.

O godzinie 10 trybuny były pełne; przygrywała orkiestra Szkoły Podchorążych Piechoty. Wśród zgromadzonych zawodników i publiczności panował weso-

ły i z lekka podniecony nastrój. Robiono uwagi, przypuszczenia, oceniano, krytykowano (wszak znają się tu wszyscy), robiono formalne zakłady, zakrawało po prostu na „totka".

Zawody kulowe przeciągnęły się do godziny 15.

O godzinie 20 nastąpiło uroczyste rozdanie nagród w Hotelu Europejskim. Licznie zgromadzona publiczność oklaskiwała zwycięzców. Przy dźwiękach doskonałej muzyki spędzono kilka miłych godzin.

Wł. Grzybowski

Miasta dzikich kaczek

Amerykanie i Anglicy są urodzonymi myśliwcami i rybakami. Lubią się oderwać na weekend od miasta i spędzić wolny czas ze strzelbą na ramieniu w lasach i polach w poszukiwaniu zająca, lisa, ptactwa błotnego, czy też z wędką, by złapać pstrąga lub łososia. Specjalnie jednak pociąga myśliwych dzika kaczka.

Gdzie są myśliwi, tam rodzą się równocześnie organizacje myśliwskie i kluby. Takim klubem jest, między innymi, klub Of More Game Birds in America. Zasługuje on na specjalną uwagę ze względu na ruchliwą działalność, którą ogarnia dwa wielkie organizmy państwowe — Stany i Kanadę. Klub ten zdołał na przestrzeni paru lat powiększyć ilość dzikich kaczek sześciokrotnie. Z inicjatywy, mającej na celu miłe spędzenie czasu dla myśliwych, zrodziło się dzieło, które ma także dużą doniosłość w gospodarce narodowej Stanów i Kanady.

Dawna Ameryka niezaludniona, pełna bagien, wód, potoków i jezior, jeszcze około 1875 r. była rajem dla myśliwych. Samych kaczek dzikich nad tymi krajami latało, według obliczeń i szacunku uczonych, około 400 milionów sztuk. Później przyszedł człowiek uzbrojony w maszyny i pługi, i objął szerokie niwy pól pod uprawę pszenicy, zdrenował pola, osuszył bagna, wytępił bobry i zniszczył kunsztowne ich tamy. Coraz mniej było miejsc, w których kaczki mogły wysiadywać swe pokolenie. Znawcy obliczali ilość kaczek w 1935 r. jedynie na 27 milionów. Olbrzymia susza z 1928 r. była szczególnie zabójcza dla tego ptactwa.

Ten katastrofalny spadek pogłowia obudził uwagę dalej patrzących w przyszłość sportowców i myśliwych, zorganizowanych w klubie, i nakazał im wystąpić z inicjatywą odbudowy miejsc lęgowych dla tego rodu ptasiego, głównie w Kanadzie, a to z uwagi, że około 70% wszystkich kaczek amerykańskich tam się właśnie wylęga. Myśliwi ci stworzyli wielką organizację, tzw. Duck Unlimited, w stanie Columbia oraz równocześnie taką samą organizację w Kanadzie, z siedzibą w Winnipegu.

Jakaż była zagadka tego ciągłego spadku liczby kaczek? Kaczki każdej wiosny lecą na północ, szukając miejsc na gniazda wśród różnych trzęsawisk, bagien i mielizn. Tragedią kaczego rodu jest jednak okoliczność, że młode kaczątko trzeba karmić przez 6 tygodni zwierzęcą karmą, różnymi larwami, muchami wodnymi, gąsienicami. Tymczasem duże ilości mokradeł wysychają w tym okresie. Giną tereny żniwne dla kaczek i ginie przez to matka i dziecko. Oszacowano stan ginących z tego powodu ptaków na zachodzie Kanady na 21.800.000. W 1938 r. w samym Stanie Alberta, w okolicy Many Island Lake, znaleziono około 100.000 sztuk kaczek wraz z młodymi, które zginęły z powodu posuchy. Duck Unlimited postanowiło więc urządzić „miasta lęgowe" dla kaczek przy stawach, wodach i jeziorach. Urządza się tamy na potokach i rzekach po to, by wody prędko nie spływały, bagna nie wysychały. Zapędzono do roboty buldożery, które w czasie wojny oczyszczały miasta z gruzów, budowały lotniska i drogi, a teraz mają robić stawy i budować tamy. Dynamit jest też pomocny przy usuwaniu ziemi i robieniu zagłębień i nor. Blisko 1.000.000 akrów terenu jest objęte 155 różnymi wzorami tej organizacji.

Myśliwi umieli przekonać centralny rząd kanadyjski i rządy Stanów o pożyteczności akcji. Wciągnięto do współdziałania farmerów, myśliwych, przewodników leśnych i kupców. Wrogami kaczek, a głównie ich młodych, są wrony, które w milionach sztuk przyleciały za farmerami na zachód oraz sroki, ziemne wiewiórki, szczupaki i ryba „jackfisch". Wrogom tym, a zwłaszcza wronom, wydano wojnę, do której wciągnięto także dzieci szkolne, by z gniazd wronich wybierały jaja. Żarłoczne to plemię spadło dzięki tej akcji do jakichś 2 milionów sztuk. Sam „jackfisch" pożera około 8 milionów kacząt rocznie. Skutki budowy tych miejsc lęgowych są już widoczne. Tereny „miast" zamieszkały setki i tysiące ptaków. Jesienią 1944 r. około 140 milionów kaczek latało znów z Kanady na południe do Stanów, ku radości amerykańskich myśliwych.

Farmerzy kanadyjscy, którzy początkowo patrzyli na prace organizacji z nieufnością, obecnie przekonani, dają również pomoc. Bydło bowiem uzyskuje nowe wodopoje, przeprowadzenie różnych prac melioracyjnych i nawodnienie podnosi zbiór siana na łąkach, na stawach i jeziorach hoduje się szczury piżmowe, kórych futerka przynoszą farmerom grube tysiące dolarów. W miejscu, gdzie bulldozer nie może pracować i pogłębiać stawów oraz budować tam, zastępują człowieka i jego narzędzia wspaniali budowniczowie wodni świata zwierzęcego, specjalnie sprowadzone bobry. One to, tworząc dla siebie własne osiedla, tamy i urządzenia nawadniające, budują także dla kaczek ich miasta lęgowe, w których nie grozi już kaczątkom śmierć z powodu posuchy. Obywatel Kanady zarobi znów wielkie pieniądze na drogiej skórce bobrowej.

Dr. S. Kipta

Ogólnokrajowe Konkursy Wyżłów

W dniach 24 i 25 września br. zostają zorganizowane Ogólnokrajowe Konkursy Wyżłów Dowodnych (kontynentalnych) i Angielskich.

Konkursy odbędą się na terenach Rożniat k/Kruszwicy.

Zapisy psów na konkursy przyjmuje oraz informacji udziela Oddziałowa Rada Kynologiczna w Inowrocławiu, ul. Marulewska 35a — Ob. Prezes St. Zawierucha.

z literatury ŁOWIECKIEJ

I

Biuletyn nr 3 Powiatowej Rady Łowieckiej i Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego w Bydgoszczy z dnia 12 maja 1949 r.

Kolejny zeszyt biuletynu bydgoskiego w związku z okresem walnych zebrań organizacyj łowieckich, podaje zmiany w ich składzie osobowym. A więc w Bydgoskim T-wie Łowieckim prezesem został kol. R. Kulasek, wiceprezesami koledzy: J. Patalong i R. Szuster, sekretarzem—kol. L. Kolańczyk, łowczym kol. H. Bolcek. Stanowisko łowczego powiatowego na miasto i powiat bydgoski, po ustąpieniu kol. E. Soboczyńskiego, zajął kol. J. Patalong. Do składu Wojewódzkiej Rady Łowieckiej weszli z terenu Bydgoszczy: wicewojewoda Jakubowicz jako prezes oraz koledzy: J. Patalong, R. Szuster, Z. Rychlicki, mjr Wacławski i gen. Półtarzycki jako członkowie.

Informując o działalności PZŁ na terenie Pomorza, Biuletyn zawiadamia, iż w najbliższym czasie ukaże się pierwszy zeszyt kwartalnika pt. „Przegląd Łowiecki", wydawany jako organ 4 Województw Wielkiego Pomorza. Pismo to będzie miało charakter wyłącznie fachowo-sprawozdawczy, z całkowitym wyłaczeniem beletrystyki. Jako prenumeratę każdy członek PZŁ na Pomorzu winien uiścić 300 zł.

W dn. 29 maja Bydgoskie T-wo Łowieckie zorganizowało na własnej strzelnicy w leśnicwie Czyżkówko pierwsze po wojnie zawody w strzelaniu do rzutków o zespołowy i indywidualny tytuł mistrza Pomorza, a w dniu 26 czerwca w Bydgoszczy — doroczny pokaz trofeów myśliwskich członków Towarzystwa.

Celem umożliwienia członkom Towarzystwa zespołowego dzierżawienia terenów łowieckich i prowadzenia na nich racjonalnej gospodarki, Zarząd postanowił powołać do życia „samodzielne sekcje polujące". Sekcje może tworzyć zespół najmniej 5, a najwięcej 12 członków, w tym co najmniej 2/3 posiadających pozwolenia. na broń. Nie wolno należeć do więcej niż 2 sekcji równocześnie. Sekcja wybiera kierownika i łowczego a o swym powstaniu zawiadamia na piśmie Zarząd Towarzystwa. Sekcja może rozpocząć działalność dopiero po zatwierdzeniu jej przez Zarząd.

Do Biuletynu dołączony jest kalendarz łowiecki na r. 1949/1950 dla województwa pomorskiego, ułożony na podstawie rozporządzenia Ministerstwa Leśnictwa z dn. 31 marca rb. (Dz. URP nr 31):

J. Gieysztor

II

„Krótka historia bizona amerykańskiego"— Chrońmy przyrodę ojczystą, nr. 1/3 1949 r.

Bizon, wspaniałe zwierzę, pokrewne naszemu żubrowi, zaludniał przed 200 laty w ogromnych ilościach rozległe przestrzenie Ameryki Północnej. Wraz z ekspansją białych osadników przesuwał się bizon coraz bardziej na zachód, ustępując przed bezmyślnym wyniszczeniem. Z rokiem 1825 bizon przestał istnieć na wschód od Missisipi, a rozpoczęcie budowy kolei transkontynentalnej w 1830 r. sprawiło wybicie setek tysięcy tych zwierząt na zachodzie, z których użytkowano wyłącznie języki i skóry. Pod koniec lat osiemdziesiątych zdano sobie sprawę, że dla bizona zbliża się całkowita zagłada. W 1894 r. Kongres wydał ostre zarządzenia, otaczające bizona ochroną, a w 1905 r. powstało Amerykańskie Towarzystwo Ochrony Bizona, którego wydajna praca sprawiła, że ilość bizonów osiągnęła w 1933 r. liczbę 21.000 sztuk, w tym w Kanadzie 17.000 sztuk. Specjalnie utworzony rezerwat w Buffalo National Park (Stan Alberta) zgromadził największą ilość bizonów stepowych, a równocześnie powstał w 1922 r. osobny park leśnego bizona (Wood Buffalo Park), który zgromadził resztki tej odmiany bizona, doprowadzając ich ilość w 1929 r. do 1.500 sztuk.

W związku z tą notatką przypomnieć należy, że w rezerwacie żubrzym w Białowieży nastąpiły w 1948 r. zmiany następujące: urodziło się 6 nowych żubrów, w tym 2 byczki i 4 jałówki i przywieziono z Pszczyny 2 żubry, zaś wywieziono: do Związku Radzieckiego 4 żubry, do Szwecji — 1 żubra, wobec czego stan pogłowia na dzień 1 stycznia 1949 r. wynosił w rezerwacie 20 sztuk, w tym 10 byków i tyleż krów.

J. Gieysztor

Kalendarzyk myśliwski

W myśl ustawy łowieckiej z dn. 3 grudnia 1927 r. i rozporządzenia Ministra Leśnictwa z dn. 22 marca 1949 r. (Dz. U. R. P. nr 21) polowanie na następujące zwierzęta łowne jest dozwolone (pole białe), wzbronione (pole czarne):

RODZAJ ZWIERZYNY	sierpień	wrzesień
Sarny rogacze w woj. Olsztyn, Poznań, Toruń		
Sarny rogacze w pozostałych województwach	■	■
Dziki		
Wydry		
Borsuki	■	■ 16
Kuropatwy w woj. Białystok, Lublin, Rzeszów	■	■
Kuropatwy w pozostałych województwach	■	■ 16
Przepiórki	■	
Jarząbki	■	■ 16
Słonki	■	
Dzikie gołębie	■ 16	
Dzikie kaczki		
Dzikie gęsi	■ 16	
Bataliony		
Inne ptaki błotne i wodne . . .		
Kwiczoły i paszkoty	■ 16	
Gawrony, kruki, kawki i drapieżniki skrzydlate, z wyjątkiem gołębiarzy i krogulców	■ 16	
Jastrzębie gołębiarze, krogulce. wrony siwe i sroki		
Wilki, lisy, kuny kamionki, tchórze, gronostaje, łasice		
Króliki		

Polowanie bez strzelby

Stanek J. V., dr — S kamerou za zveri na nasich vodach.—Z kamerą za zwierzyną na naszych wodach. Przedmową zaopatrzył docent dr J. Obenberger, in folio, str. 392, fotografii 563, 8 wielobarwnych tablic i 26 akwafort. Cena 370 koron. Nakładem czeskich zakładów graficznych w Pradze.

Piśmiennictwo czeskie, znane z pięknej szaty zewnętrznej, wzbogaciło się jeszcze o jedną książkę, tym razem przyrodniczą, z którą warto się bliżej zapoznać, tym bardziej, że powinna zainteresować i myśliwego. Autor wymienionej pracy wybrał się na polowanie nie ze strzelbą, ale z aparatem fotograficznym po błotach i łąkach, uchwytując na gorącym uczynku wiele ciekawych scen z życia ptaków. Szczególnie zainteresował go bekas w okresie lęgu, podpatrzył łyski, kaczki gniazdujące, perkoza, mewy, a nawet tak ostrożną gęś i wiele innego ptasiego drobiazgu, wijącego swe gniazda na mokradłach. Prócz ptaków są tu przedstawiciele ssaków, jak wydry i piżmaki; doczekały się też uwiecznienia owady, żaby, poza tym prześliczne zdjęcia przeróżnego rodzaju kwiecia bagiennego.

Książka ma dużą wartość nie tylko z punktu przyrodniczego i artystycznego, gdyż została podpatrzona przyroda na wolności; nie widać wśród zwierząt przerażenia czy bojaźni, co czyni szczególnie miłe wrażenie na oglądającym te doskonałe zdjęcia. Szkoda tylko, że autor nie podał jakim aparatem dokonał zdjęć, jakiego używał materiału fotograficznego, czasu ekspozycji itp. Byłoby to dla nas bardzo instruktywne i interesujące.

Podobna praca powinna i u nas powstać. Mamy doskonałych amatorów fotografów, którzy już wykazali niejednokrotnie, że umieją podpatrywać przyrodę i w odpowiednim momencie utrwalić ją na kliszy. Mam tu na myśli pp. dra Rząśnickiego, dra Puchalskiego i dra Sekutowicza. Jeśliby ci artyści uzupełnili swoje zbiory zdjęciami filmowymi, wykonanymi w roku ubiegłym na Ziemiach Zachodnich, wówczas powstałaby zbiorowa praca, cenna zarówno dla myśliwych i przyrodników, jak dla każdego miłośnika przyrody.

Janusz Królikowski.

Skład Redakcji Łowca Polskiego

PRZYPOMNIENIE

dla Odbiorców Łowca Polskiego

Stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia P. Z. Ł. z dnia 24 kwietnia r. b. zapisy na członków Związku zostały przedłużone do końca roku, ale z zastrzeżeniem, że nowo przybywający członkowie otrzymają ŁOWCA POLSKIEGO *tylko od chwili zgłoszenia* z uwagi, że nakład ŁOWCA POLSKIEGO jest przystosowany do faktycznej w danym okresie ilości członków. Zwracamy uwagę na tę okoliczność i uprzedzamy, że bezcelowymi będą reklamacje o dostarczanie zeszytów wcześniejszych.

Toż samo dotyczy reklamacji o *niedostarczone zeszyty z miesięcy styczeń — kwiecień.* Wykazy adresów sporządzane były przez Rady Wojewódzkie. Jeżeli z powodu spóźnionego nadesłania ich do Administracji zabrakło już zeszytów z poprzednich miesięcy — to Administracja pisma nic tu zmienić nie może i uprzedza, że na takie reklamacje *odpowiadać nie będzie.* Z pretensjami o to zwracać się należy do Rad Wojewódzkich.

REDAKCJA

Redaktor — prof. J. Gieysztor Warszawa, ul. Nowy Świat 35, konto PKO I-1077.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki

Zam. 1174 Z. G. P. W. Nr 1 B-80255